№ 11. Warszawa, dnia 1 (13) Marca 1890 r. Rok XXVI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Sprawa Skoblińskiej, która obiegła całą prassę europejską, zbudziła u nas oprócz publicznego oburzenia naszę chorobliwą projektomanią; powołani i niepowołani zaczęli sobie łamać głowę nad wynalezieniem najlepszego sposobu ochraniania biednych niemowląt od śmierci a matek ich od wyzysku.

Okazało się, że nie jest to zadaniem tak łatwem wymyśleć coś nowego, a zwłaszcza praktycznego, coby dało się urzeczywistnić i zabezpieczyło rychło godziwe a pożądane reformy.

Tysiące wrażliwych dusz oburza się ze zgrozą za zbrodnią przy ulicy Śliskiej, ubolewa nad losem ludzkiego drobiazgu, skazanego na zagładę, a instytucya „Macierzyństwo“, która sobie wytknęła cel ratowania tych ofiar liczy zaledwie — czterystu członków!.. Co za proporcya!..

D-r Fritsche w „Medycynie“, traktując przedprzedmiot opuszczonych niemowląt i konieczność zajęcia się ich losem, przypomina, iż przed dziesięciu laty p. Stanisław Kronenberg przeznaczył rs. 10.000, ktoś inny złożył w tymsamym celu 12.000 rs. Kto wie, do jakiej summy wzrosłyby składki, gdyby raz zbierać je zaczęto przy energicznej agitacyi.

W dziennikach wyczytałem w tych dniach wiadomość o zapisie jakiegoś poczciwego filantropa, który 10% od swego mienia pozostawionego przeznaczył na dom podrzutków, a mienie to wynosi około, czy przeszło 400.000 rs.

Okazuje się, że możnaby poruszyć sumienie i ofiarność ogółu, tylko należałoby obmyślić jeden jakiś projekt stały, najpraktyczniejszy ze wszystkich, i przystąpić do jego wykonania.

Wszystkie rozstrzelone działania na własną rękę wytwarzają tylko chaos poglądów, mieszają opinią publiczną i w końcu nie doprowadzą do żadnego poważnego rezultatu.

Race pięknych frazesów spłoną, szmermele nawoływań zgasną i zgłuchną, przyjdzie na porządek dzienny jakaś inna sensacyjna sprawa, przestaniemy mówić, pisać i myśleć o dzisiejszych projektach i wszystko potoczy się znowu dotychczasową koleją.

Alboż my się nie znamy!...

Nie mieliśmy w ostatnich czasach bardziej popularnej, cenionej postaci w literaturze bieżącej, nad Kraszewskiego.

Po pogrzebie postanowiono wznieść mu skromny pomnik w kościele świętokrzyzkim; wezwano do składek, zgodzono projekt bardzo ładny i bardzo stosunkowo tani, kazano go wykonywać ś. p. Kryńskiemu, rzeźbiarzowi, i zaczęto zbierać ofiary.

Chodziło wszystkiego o 5.000 rs. na koszta pomnika z bronzu i marmuru.

Zdawało się, że wobec zasług Kraszewskiego, wobec jego popularności, wobec świeżej pamięci po śmierci „tytana pracy“, ta summa da się zebrać po groszu.

Wiecie, ile z mozołem zebrano?... nie cały tysiąc.

Nieboszczyk Kryński dał swą pracę, dał pomysł, wyłożył na materyał i na robotę wszystkich rzeźbiarskich i modelatorskich części z własnej kieszeni 3.000 rs., licząc napewno, że mu to „wdzięczny ogół“ zwróci przez ręce pomnikowego komitetu, ale wdzięczny ogół ogłuchł nagle na wszystkie zaklęcia i odezwy.

Ponad 976 rs. nie dało się zebrać ani jednego rubla więcej i skłopotany artysta musiał z konieczności zobowiązać się do wykonania pomnika za taką summę, jaką ostatecznie złoży „wdzięczny ogół“.

Dawno już miałem obowiązek wspomnieć o pewnem wydawnictwie, przyjętem w początkach z pewnem niedowierzaniem ze względu na trudności, jakie miało do pokonania, a jednak puszczonem w świat i wprowadzonem na drogę pomyślnego, oile dotąd sądzić można, urzeczywistnienia.

Mam tu na myśli „Wielką encyklopedyą powszechną z illustracyami“, wydawaną nakładem i drukiem p. S. Sikorskiego w Warszawie.

Dotychczas wyszły dopiero dwa zeszyty, ale zapowiadają one dzieło starannie opracowane i na wielkie rozmiary zakrojone; zagarnie ono mnóztwo sił, mnóztwo materyału i wiedzy ludzkiej, pochłonie znaczne kapitały, zanim do końca doprowadzonem będzie, ale przy staranności komitetu redakcyjnego i współpracownictwie najcelniejszych sił literackich i naukowych może się stać prawdziwie pomnikowem wydawnictwem.

Rozumie się, że bez szerszego poparcia, bez dostatecznej liczby prenumeratorów może być całe przedsięwzięcie spaczonem, a szkodaby było dzieła, tak obiecująco rozpoczętego.

Ruchliwa zawsze firma nakładowa Teodora Paprockiego i Sp., wydała książkę pod tytułem bardziej zachęcającym od wszystkich innych w tych czasach; nazywa się ona krótko ale wymownie: „Rubel“ i jest ekonomicznem studyum p. Zygmunta Herynga, *rara avis* w naszej literaturze naukowej.

Autor w ostatnich czasach w sferach ekonomicznych i finansowych poruszył nader ważną kwestyą reformy papierowej waluty i rozwijał swój projekt ustalenia kursu rubla na dotychczasowym poziomie.

Jest to temat bardzo specyalny, ale bardzo ciekawy i zajmujący przy bliższem poznaniu, a bardzo żywotny w naszych czasach.

Książka p. Herynga napisana jest jasno i przystępnie dla wszystkich niemal, którzy w kieszeni choćby jednego rubla papierowego posiadają, a ani jego historyi nie znają, ani nie umieją sobie

wytłómaczyć spadków i podskoków kursu, ani nie wiedzą, co dla podniesienia tego kursu już robiono, a coby zrobić należało.

*

* *

Przekonałem się, że w Warszawie najtańszą rzeczą jest... muzyka w Towarzystwie muzycznem. Z wydanego drukiem sprawozdania za rok ubiegły okazuje się, iż członkowie (jest ich około 800), mieli za swoich marnych kilka rubli trzydzieści koncertów i koncercików, nazywanych większemi (16) i mniejszemi (12) wieczorami, (jeden urządzono na benefis dyrektora).

Wieczory większe z bardziej doborowym programatem, z udziałem znakomitych solistów, przyniosły też 165 rs. 89 kop. deficytu, natomiast wieczory mniejsze, na których nie brak również znakomitych artystów, dały 842 rs. 9 kop. przewyżki.

A zatem wypadałoby z tego, że trzeba jaknajczęściej urządzać wieczory mniejsze, ale tu właśnie sęk... bo posłuchajmy, jak się skarży żałośnie zarząd towarzystwa w swem sprawozdaniu:

„Wielkim ciężarem są dla Towarzystwa (chyba dla Zarządu?) t. z. wieczory mniejsze, albowiem zarówno nauczyciele muzyki, jako też artyści urządzający dotychczas te wieczorki, odmówili obecnie swej pomocy, dając za powód zbyt surowe recenzye w niektórych pismach, które, nie pojmując widocznie znaczenia tych małych wieczorów, traktowały je na równi z większemi. Komitet czuje się w obowiązku przedstawić tę okoliczność członkom Towarzystwa, albowiem ścisłe odgraniczenie wieczorów *większych* od *mniejszych* jest nieodbicie potrzebne, inaczej bowiem wobec ewentualności urządzenia trzydziestu samych większych wieczorów, byt instytucyi byłby zagrożonym, gdyż wobec wysokich honoraryów, musiałby nastąpić znaczny deficyt w budżecie rocznym“.

Krytyko, zastanów się opamiętaj!.. nie prześladuj mniejszych wieczorów w Towarzystwie muzycznem, bądź pobłażliwszą dla amatorskich popisów, pomnąc, iż art. I Ustawy mówi „o uprawianiu sztuki muzycznej zapomocą wzajemnego kształcenia się“,—a zatem na estradzie muszą od czasu do czasu stawać dyletanci i amatorowie, próbujący swoich talentów, palców i głosu, jako aspiranci do przyszłej sławy.

Jest to zresztą skutek naturalny pedagogicznej działalności Towarzystwa, które sobie pożyteczniejsze z tego obiecuje rezultaty, aniżeli z najświetniejszych popisów skończonych artystów.

Dziewięćdziesiąt osób w ogóle, oprócz chórów i orkiestry przyjęło udział w tych trzydziestu wieczorach, urządzonych zeszłego roku; na liście nazwisk spotykamy wiele głośnych w dziedzinie sztuki.

Ruchliwość Komitetu i pieczołowitość o krzewienie zamiłowania do muzyki, o kształcenie talentów, o dostarczanie zachęty kompozytorom, stwierdza się całym szeregiem faktów wymienionych w Sprawozdaniu. Słusznie też na niedzielnem walnem zgromadzeniu złożono komitetowi należny wyraz uznania.

Dotkliwą stratę poniosło Towarzystwo przez śmierć ś. p. Władysława Wiślickiego; na dochód pozostałej po nim wdowy postanowiono urządzić koncert pod dyrekcyą Adama Münchheimera.

Był projekt oddania p. Wiślickiej posady bibliotekarki po mężu, lub powierzenia jej obowiązków intendentki. Walne zgromadzenie uważało to za rzecz niemożliwą, a jednak byłoby to najwłaściwszem spłaceniem długu wdzięczności i uznania dla zmarłego inicyatora i gorliwego protektora instytucyi, gdyby wdowie po nim zapewniono w ten sposób niewielkie, ale stałe utrzymanie w temsamem Towarzystwie, w którem nieboszczyk tyle lat pracował.

Quis.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg).

Rozmowa weszła na temat repertoarów teatralnych, zakulisowych intryg i ploteczek.

Wila powtarzała wprawdzie, że nic nie wie co się w teatrze dzieje, że ją poza sztuką i jej rolą nic nie obchodzi, że ta cała „buda“ obmierzła jej oddawna, ale zapominając się, wracała sama do tych przedmiotów i nie szczędziła kostycznych docinków reżyseryi, a kolleżankom dwuznacznych alluzyi.

— Ach, prawda, pana przecież to nic nie obchodzi! — przerywała sobie kilkakrotnie — nie mówmy już więcej o teatrze.

Po chwili jednak wtrącała:

— Wie pan, będę może grała „Camargo“ w tym sezonie. Pan zna „Camargo“?... nie widział pan tego nigdzie zagranicą?... to baletniczka, którą porywają zbójcy. Rola popisowa, musiałabym śpiewać i tańczyć jednocześnie; coś całkiem oryginalnego, prawda?... Przyjdziesz pan na premierę, rozumie się. Ja jestem zabobonna, kiedy nie widzę w krzesłach którego z moich upatrzonych przyjaciół, który mi szczęście przynosi, boję się grać, nie mam powodzenia...

— To znaczyłoby, że ja — odezwał się Karol— że ja szczęście przynoszę?...

Wila uśmiechnęła się melancholijnie.

— Dotychczas,—szepnęła, ściskając go zlekka za rękę — nie wiem, czy będzie tak dalej?...

Halkiewiczowa siedziała na uboczu i nie brała wcale udziału w rozmowie; miała usta zasznurowane, patrzyła tylko z jakimś ironicznym uśmieszkiem na Wilę i Karola, jakby słuchała sceny z komedyi, którą widywała w życiu tyle razy.

Fatt zpod oka spoglądał na nią i znać było, że go obecność osoby trzeciej krępuje i onieśmiela jeszcze bardziej; kilka razy wsadzał rękę do kieszeni i miał ochotę wyjąć z niej pakiecik w angielską bibułkę owinięty, ale się wahał uczynić to przy świadkach.

Postanowił wybrać stosowniejszą chwilę potemu, chociaż ta zwłoka niecierpliwiła go. Miał zamiar ofiarować Wili „bagatelkę“, którą dziś rano zabrał od jubilera i chciał jaknajśpieszniej się przekonać, jakie wrażenie zrobi jego upominek i czy ta śmiała ofiara przyjętą zostanie.

Powiadano mu, że kobiety wogóle, a artystki w szczególności, lubią wszelkie błyskotki i świecidełka, że im to zawsze sprawia przyjemność i pochlebia ich próżności.

Wszakże mu sama słowami Kalchasa powiedziała, że „zadużo kwiatów“ jej znosi; wziął to za wyrzut i za zręczną przymówkę. Przyniósł tym razem coś innego, także kwiaty, ale cenniejsze, dwie stokrotki z brylantów do uszu.

Kosztowało go to... mniejsza o cenę; kosztowało niemało, ale nie mogło kosztować mniej.

Przyszły milioner, Fatt, Karol Fatt *junior* nie mógł się kompromittować i byle co ofiarowywać pannie Suczkowskiej, która potrzebowała tylko swój muślinowy fartuszek nastawić, aby w nie całemi garściami pereł i brylantów nasypali jej wielbiciele.

Tak mu się zdawało, tak mu ona sama niejednokrotnie się przechwalała; a jeśli tego nie robiła dotąd, to dlatego, że nie chciała nikogo wyzyskiwać, i że — prawdopodobnie tych Krezusów, rzucających brylanty garściami, jakoś nie było tak dużo.

Zryzykował, chciał zrobić początek pierwszy, chciał się odważyć i złożyć jej brylantowe kolczyki. Kilkaset rubli — wielka rzecz!.. mógł sobie na tyle pozwolić.

Coraz częściej wkładał rękę do kieszeni i dotykał palcami pluszowego etui, myśląc tylko o tem, w jaki sposób i kiedy ma je oddać uroczej kapryśnicy. Dręczyła go niepewność, czy jego dar zostanie przyjętym i czy *diva* nie obrazi się taką śmiałością; byłby dał wiele za to, aby się tego małego, zgrabnego pakieciku pozbyć nareszcie.

Czuł, że po załatwieniu tej drobnej sprawy, byłby, i swobodniejszym, i w lepszym humorze.

— Jeśli nie przyjmie—mówił sobie—obrazi się i da mi burę, będzie wstyd; ale jeżeli weźmie...

Błogi uśmiech rozlał się po jego twarzy, nie śmiał z wielkiej radości dokończyć wyraźnie własnej myśli w tym cichym monologu.

U drzwi w przedpokoju zadźwięczał dzwonek i po chwili do budoaru weszło dwóch mężczyzn: jeden we fraku, łysawy blondyn z wąsikami w górę podwiniętemi, z twarzą opasłą, nabrzękłą, uśmiechniętą słodko, z cylindrem w ręku, w białym krawacie i z gorsem wykrochmalonym, sklepionym jak pancerz z białej blachy na szerokich piersiach, które widocznie z przyzwyczajenia wysuwał naprzód, jakby chciał się niemi pysznić przed całym światem; drugi brunet, wysoki, tęgi, przystojny, o rozchwianych nieco ruchach, ubrany w kostyum marynarkowy, z różą w butonierze, a z bobrową czapką w rękach,—pod względem swobody i całego wzięcia był on zupełnym kontrastem swojego towarzysza.

Blondyn z jakąś ceremonialną powagą, jakby uroczyście nastrojony, wszedł do salonu z głową zadartą i w samym środku budoaru złożył trzy ukłony z gracyą, nie bardzo odpowiednią jego tuszy i pięćdziesięciu kilku latom, a potem przybierając nagle swój słodki uśmiech, głowę przechylił na prawe ramię i drobnemi kroczkami z wymuszoną lekkością podbiegł do Wili z powitaniem.

Brunet o połowę prawie młodszy od niego, z miną bywalca, który sobie z niczego nic nie robi, z głośnym, wesołym śmiechem, nie witając nikogo, poszedł wprost do fortepianu, czapkę rzucił w kąt na kozetkę i hałaśliwemi akkordami zaczął akkompaniować sobie do śpiewu:

— Witaj mi skromności ustronie!

Z emfazą, przedrzeźniając umyślnie tenorów *di forza*, całym głosem zaśpiewał pierwsze takty romansu Fausta i śmiał się przy tem, wdzięcząc się do Wili i do Halkiewiczowej.

— Mógłbyś się pan najpierw przywitać, jak człowiek dobrze wychowany — skarciła go nie zbyt surowo pani domu.—I to jest ten szarmancki Tonio, którego przyjmują w salonach!—rzekła niby z oburzeniem do Fatta.

Atletyczny brunet, Toniem nazwany, podniósł nagle ręce z klawiatury i z romansu Gounoda przechodząc w skoczny ton Offenbacha, zanucił zamiast odpowiedzi:

— Jam jest wrzący Achilles, wrzący Achilles, wrzący Achilles!..

— Mój Bellini, zaknebluj mu usta — zwróciła się Wila do otyłego blondyna, który ściskał z wielką attencyą rękę Karola i przedstawiał mu się w tej chwili, jako Zygfryd Znajemski, znany w świecie pod nazwiskiem Belliniego, były tenor Opery madryckiej, nadworny śpiewak księcia Reich-Schleiss-Esslingen, osobisty przyjaciel Wagnera, nieboszczyka Meyerbeera i wszystkich słynniejszych kompozytorów.

— Tonio, *assez!*—zakommenderował zdaleka, ściągając brwi jowiszowe i podnosząc w górę energicznym ruchem prawą rękę w pękniętej rękawiczce paliowego koloru.

— Kiedy jestem dziś nakręcony, jak pozytywka—bronił się Tonio, nie wstając wcale od fortepianu — chce mi się tańczyć, skakać, śpiewać!.. rozbijać fortepiany i bębenki w uszach. Co wam to szkodzi, możecie sobie rozmawiać przy moim akkompaniamencie.

Halkiewiczowa podeszła do niego i kładąc mu swoje długie, białe, delikatne ręce na ramionach, rzekła:

— Młodzieńcze, nie profanuj muzyki!..

Powiedziała to na pół żartobliwie, ale te słowa zrobiły wrażenie na „wrzącym Achillesie“, bo przestał nagle bębnić po klawiszach, odwrócił się

na śrubowym stołku, przyklęknął na jedno kolano i w recitativie, tremolującym nieco głosem, odpowiedział jej:

— Jak kazałaś, tak się stało!.. Kogobym nie usłuchał, ale mateczki!.. mateczki najukochańszej— dodał, przyciskając jej chude palce do ust z przesadną affektacyą—Pani wiesz, że ja szanuję sztukę i jej kapłanki, nawet na dewocyi osiadłe.

Powiedziawszy to, nachylił szybko głowę i nadstawił swój gruby, muskularny kark ze słowami:

— Proszę o klapsa za tę złośliwość, ale nie chciała mi zostać na języku. Mateczko, nie żałuj swoich ślicznych rączek i wal co siły starczy!.. o tak, tak... jeszcze mocniej; to mi się należało.

Wesoły jego, trochę łobuzowski, humor udzielał się reszcie towarzystwa.

Bellini, *toujours correct*,—jak mówił sam o sobie, czuł się najwidoczniej swoim galowym strojem obowiązanym do szyku i dystynkcyi, zaś jako człowiek, który połowę życia spędził w kostyumie, pozował z teatralną gracyą, manewrując starym, wyszczotkowanym cylindrem z przesadą dandysa, opierał się o wszystkie meble, zaplatał nogi, lub je rozstawiał heroicznie, przy każdem słowie gestykulując żywo i dbając nieustannie o swoje białe mankiety z ogromnemi spinkami i krochmalony gors u koszuli, który z przyciasnej dobrze kamizelki gwałtem się naprzód wydymał.

Co chwila wtrącał jakiś francuzki lub włoski wyraz i rozmowę swą skierowywał zawsze do Fatta, jakby go w całem towarzystwie za najpoważniejszą figurę uważał.

Karol uśmiechał się i małomowny, jak zawsze, spoglądał na wszystko w milczeniu, gorętszemi spojrzeniami obrzucając tylko Wilę od czasu do czasu.

Pięknego Tonia znał z towarzystw męzkich, poznał go przez barona i spotykał dość często, uwieszonego u boku ludzi bogatych ze sfer arystokratycznych, pędzącego swobodne, wesołe życie „niebieskiego ptaka“.

Bywał wszędzie w salonach high-lifu zarówno, jak w budoarach aktorek, w klubach i gabinetach restauracyjnych, u góry i u dołu, zawsze i wszędzie mile witany, bo wnoszący z sobą głośny śmiech, dobry humor i tę jakąś pustotę młodości, która ożywiała atmosferę.

— Jak się ten Tonio marnuje!—mówiono o nim tonem wielkiego zgorszenia, ale pomagano mu do marnowania się z dnia na dzień, korzystając z jego towarzyskich przymiotów; pozwalano mu szargać opinią swą a przyjmowano go w świecie za szczególniejszą jakąś przepustką.

Ktoś złośliwy powiedział raz o nim:

— Ten Tonio to jak ser: im bardziej zepsuty, tem lepiej smakuje.

Z Wilą łączyły go zażylsze stosunki, wpadał do niej częściej, niż gdziekolwiek, zachowywał się bez wszelkiej ceremonii, miał zawsze jakieś konszachty z nią, posądzano go nawet przez pewien czas, że się stara o jej względy i ma ochotę... ożenić.

Bóg wie, co tam między nimi było.

Zobaczywszy Fatta po raz pierwszy u Suczkowskiej, udał, że go to wcale nie dziwi, ale, skorzystawszy z nadarzonej chwili, przystąpił do niej, spojrzał jej znacząco w oczy i z uśmiechem porozumienia wskazał zlekka głową na Karola, szepnąwszy:

— Nowa ofiara?...

Zmarszczyła gniewnie swoje sobolowe brwi i przycięła wargi.

— No, no, niech się królowa zaraz tak nie irrytuje, — szeptał dalej — niéma czego. Chciałem tylko powinszować... Nowy niewolnik to nabytek, zwłaszcza taki!..

— Wiesz pan, że nie lubię docinków! — mruknęła zaledwie dosłyszalnym głosem.

— O wiem!

— A zatem...

Odwróciła się od niego zadąsana.

Młoda, przystojna pokojówka z dowcipnie zadartym noskiem, wyświeżona, jak teatralna subretka, wniosła herbatę na tacy.

Tonio zdążył uszczypnąć ją poufale w policzek i zawołać:

— Józia, patrzcie!.. znowu wyładniałaś, dziewczyno!.. Kiedyż ją nareszcie zobaczymy w chórach? — spytał, zwracając się do Wili.

— Będziecie jednocześnie debiutowali—odrzuciła mu przez ramię i poszła szepnąć coś do ucha Halkiewiczowej.

Znajemski opowiadał właśnie Karolowi, do którego przypiął się jak najęty, o swoich tryumfach we Włoszech, gdzie go kobiety Belliuim nazwały dla jego pięknych kształtów i rysów twarzy; przyjął to nazwisko na afiszu i ono szczęście mu przyniosło.

— *Imaginez vous*—mówił z zapałem — w Medyolanie wypuszczano w teatrze gołębie na moję cześć; gdy śpiewałem siódmy raz z rzędu Wilhelma Tella, Wiktor Emmanuel przyszedł do mnie na scenę z komplimentem; musiałem dla niego powtarzać romans. *O Dio!*... co to były za wrzaski!... Po każdem przedstawieniu, *parole d'honneur*, na rękach odnosili mnie do domu. Pan dobrodziej nie słyszałeś mnie nigdy?... tak, niestety, zawcześnie zeszedłem ze sceny!... ale ja jeszcze na deski wrócę; teraz jestem trochę zakatarzony, flegma psuje mi *medium*, jednak moje wysokie tony — jeszcze złoto!... Wszystko panie dobrodzieju znaczy metoda. Ja ją mam!... ot, naprzykład ten frazes: *Vieni, vieni, celesta mia!*...

Odchrząknął, stanął w pozie melancholijnej i rękę kładąc na piersiach, ze spuszczonemi oczyma, jakby nieśmiało zaklinał niewidzialną kochankę, zaczął cichym głosem, z tłumioną affektacyą śpiewać romans z „Belizaryusza“.

W budoarze uciszyła się rozmowa.

Powoli tony nabrzmiewały coraz pełniej, coraz gwałtowniej; stary tenor, porwany melodyą, która mu dawne czasy przypomniała, zapalał się z każdym taktem, zbudziła się w nim natura artysty; z gestykulacyą starej szkoły, pochylony naprzód, z jedną nogą cofniętą w tył, wspinając się na palcach drugiej przy każdej wysokiej nucie, z twarzą okrągłą, nabrzmiałą, świecącą się, starą, z oczyma podpuchniętemi, wyciągał wysokie tony, kołysząc się wprawo i wlewo, jakgdyby stał znowu na scenie, i miał przed sobą tłumy publiczności.

W głosie znać było ślady znużenia; zdarty na bohaterskich partyach tenor Znajemskiego był ruiną, ale umiejętność śpiewu zastępowała braki materyału, metoda zwyciężała.

Każdy wyraz wychodził mu z zaokrąglonych ust pełny, wyraźny, świadczący o dobrych studyach i wypracowanej dykcyi; deklamował z patosem włoskiej szkoły, lecz przejmował się głęboko treścią czułych zaklęć, jakby swą miłość i tęsknotę wylewał w rzeczywistości wobec ideału swego serca.

Oczy i twarz nabiegły mu krwią, ręce drżały, pierś falowała i skrzypiała, jak stary miech połatany, ale w śpiewie, czuć było duszę, temperament, zapał.

Halkiewiczowa siedziała ponura z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, z głową pochyloną, blada, usta i nozdrza drżały jej nerwowo, w oczach przebiegały dziwne błyski, ramiona wstrząsały się, jakby pod działaniem elektrycznej iskry, ilekroć głos Belliniego ryzykownym skokiem wspinał się na najwyższe nuty.

Zerwała się nagle z siedzenia, podeszła do fortepianu i jakby oszołomiona, ulegając jakiejś sile wyższej, zaczęła sama akkompaniować mu do śpiewu.

— Brawo! mateczko... bravissimo! — składając ręce do oklasku, wołał Tonio, siedzący na krześle, jak na koniu, z nogami szeroko rozsuniętemi.

Zdawała się nie słyszeć tego, nie uważać na nic, ale gdy romans w namiętnym trylu dobiegał ku końcowi, kaskada koloraturowej frazy wyrwała się z jej ust i jakby w dalszym ciągu odpowiadając roztęsknionemu kochankowi, zaczęła pierwsze takty duetu:

— *O ciel, o ciel, per tanto amore!*..

Głos jej drżał wzruszeniem i mieszał się z wysokiemi tonami tenora, podczas, gdy palce kurczowo zagięte rozsypywały z klawiszów perlisty akkompaniament.

Zwiędłe rysy byłej primadonny zdawały się odmładzać, blada twarz nabrała rumieńców, ogniem zapłonęły zamglone przedtem źrenice...

Sztuka dokazała jednego ze swoich cudów.

Namiętny duet miłosny brzmiał w powietrzu i porywał parę śpiewaków, którzy resztkami głosów wskrzeszali sobie wzajem wspomnienia minionej przeszłości.

Upajała ich coraz bardziej muzyka i unosił czar tajemniczy śpiewu, który był niegdyś jedynym żywiołem ich artystycznych natur.

Tonio przypatrywał się tej oryginalnej scenie z uśmiechem na ustach, ale z ciekawością zarazem; bawił go nad wyraz widok tej pary, która zakrawała na parodyą operowych kochanków, a jednak miała w sobie jakiś dziwny, poetyczny niemal, charakter.

— Rozśpiewali się,—szepnęła Wila do Karola, z którym usiadła na wązkiej kosetce osłoniętej kotarą w samym rogu budoaru, zakryta cieniem, jaki rzucał na nich rodzaj baldachimu i kwiaty, ustawione w żardinierkach. — Przyznaj pan, że to zabawne, prawda?...

Skinął głową na potwierdzenie, ale muzyka zajmowała go mniej w tej chwili, niż cokolwiek; czuł tuż obok siebie dotknięcie rozkosznego ciała swojej sąsiadki, trzymał jej rękę w swoich dłoniach i korzystając z odwróconej uwagi, podał jej ukradkiem pakiecik, wydobyty z kieszeni.

— Co to znaczy?—spytała go, jakby zdziwiona i przestraszona.

— Proszę, weź pani...—szepnął—to bagatelka, mały upominek, który pozwoliłem sobie...

Odsunęła się od niego urażona.

— Panie Karolu, — zaczęła po chwili z przybraną godnością — nie rozumiem pana... cóż to znaczy?...

Zmieszał się i zaczął usprawiedliwiać.

— Przecież... od przyjaciela... od wielbiciela pani talentu...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Pan myślisz — rzekła z gorzkim uśmiechem — że masz do czynienia z aktorką, jak inne!... to niegodne.—Nie wiem nawet, co zawiera ten pakiecik, ale nie biorę go wcale do rąk...

— Pani, panno Wilo!...

— Nie, nie! — broniła się, jakgdyby ją parzyło samo dotknięcie bibułki, w którą owinięte było etui z kolczykami. — Nigdy, nigdy!...

Karol miał minę skonfundowaną; nie udało mu się, nie wiedział co ma zrobić ze swą ofiarą.

Spojrzenia Wili, któremi go mierzyła, miały w sobie coś zagadkowego; na ustach niby chwiał się wyraz oburzenia, a oczy błyszczały jednak ciekawością i zadowoleniem.

Wytrzymała go tak przez długą chwilę, wreszcie rzekła, powstając:

— Wybaczam panu ten zamiar, ale tylko panu, bo nie wiesz, że prezentów nie przyjmuję od nikogo — w moim własnym domu. Na scenie, jako artystka, mogę przyjąć kwiaty, a w kwiatach nawet brylanty, ale tu... jestem uczciwą kobietą, panie Karolu!

— Więc na scenie...—zagadnął ją żywo z błyskiem nadziei.

— Na scenie, powiedziałam, jestem artystką.

Zrozumiał nauczkę i pakiecik schował napowrót do kieszeni.

A przy fortepianie miłosny duet primadonny z tenorem *di forza* rozbrzmiewał coraz goręcej i namiętniej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTO SIĘ LUBI TEN SIĘ CZUBI.

Przysłowie dramatyczne w 1 odsłonie

NAPISAŁ

J. Morosz.

(Dalszy ciąg).

Klementyna (*z ironią*). Ależ... choćby owe od trzech dni spacery pana nad stawem, w tak rannej porze... Sądziłam, że pan podziwia wschód słońca, drzewa operlone ranną rosą, obudzenie się ze snu przyrody.

Zygmunt (*szyderczo*). Co wszystko pani określa, naturalnie, jednem słowem: Głupstwo niemające praktycznego zastosowania w życiu.

Klementyna (*rozdrażniona*). Co pan możesz wiedzieć o moich przekonaniach?

Zygmunt. Przecież wyśmiewamy to tylko, co nam wydaje się śmiesznem.

Klementyna. Albo też to, co nie pasuje do danej osobistości.

Zygmunt. Aha... więc to niby do mnie tak nie pasuje poetyczność?

Klemenntyna. A nie.

Zygmunt. Więc cóż według pani pasować ma najlepiej do mnie?

Klementyna (*zniecierpliwiona*). Nic.

Zygmunt i Natalia *wybuchają śmiechem, po chwili Zygmunt mówi*: No, ale przecież kiedyś być muszę w swoim żywiole?

Klementyna. Na balu, gdy pan dyrygujesz tańcami.

Zygmunt (*silnie dotknięty*). To zależy od mojej tancerki.

Klementyna. Chyba dla pana wybór nie trudny... panienki tak się ubiegają o takiego tancerza... masz pan świetne powodzenie między niemi.

Zygmunt (*podrażniony*). Cieszę się, że pani tyle uwagi na mnie zwraca.

Klementyna. Bynajmniej — ale na sali, gdy tańczą tak pana ciągle słychać...

Zygmunt. Za to zupełnie cicho sprawowałem się podczas moich rannych spacerów, a jednak mnie pani dostrzegła.

Klementyna. Ponieważ siedziałam w oknie, a zatem, chcąc niechcąc, spostrzedz pana musiałam; a że mi pan w niczem nie przeszkadzał, nie było dobrej racyi od okna odchodzić.

Zygmunt. Dobrze, że choć do tego mogłem panią zmusić.

Klementyna. Czy w tym celu pan odbywał swoje ranne przechadzki?

Zygmnnt. Och nie! na tem mi nic nie zależy.

Klementyna. W takim razie z czegoż pan się cieszy?

Zygmunt (*zniecierpliwiony*). Że choć trochę mogłem pani dokuczyć.

Klementyna. Ależ mówiłam przecie, że mi pan nie przeszkadza wcale a wcale. Widziałam pana nie patrząc—ot, jakbym widziała choćby drzewo rosnące na tem miejscu.

Zygmunt (*z ironią*). Z tą różnicą, że drzewo byłoby wzbudziło większą ciekawość, aniżeli jakiś tam osobnik rodzaju ludzkiego.

Klementyna. To zależy: jeżeliby drzewo było jakimś szczególnym okazem, zajęłoby mnie więcej; jeżeliby zaś osobnik był ciekawy, — rzecz prosta, żebym się nim zajęła.

Zygmunt. Nawet, gdyby to był osobnik rodzaju męzkiego?

Klementyna. Ależ ja bynajmniej nie cierpię idyosynkrazyi do mężczyzn; przeciwnie, lubię bardzo towarzystwo niektórych.

Zygmunt. Radbym chociaż jednego zobaczyć.

Klementyna. Zdaje mi się, że nie byliby w guście pana. Ja lubię ludzi poważnych, biorących życie z poważnej strony.

Zygmunt. Naprzykład, jak nasz sąsiad, pan Edward. Ten chyba ma dosyć powagi.

Klementyna. Ach! dajż-że mi pan z nim pokój! tak zarozumiałego człowieka, nie widziałam dotąd jeszcze nigdy!

Natalia (*z urazą*). Trudno ci trafić do gustu. Głos ogólny nazywa pana Edwarda bardzo rozumnym — ale nie słyszałam, aby mu zarzucano tak straszną zarozumiałość.

Klementyna (*z uśmiechem*). Nie uprzedzam się, znam go niewiele—dopiero trzeci dzień tu bawi, być może, przy bliższem poznaniu, zmienię zdanie o nim... Teraz, razi mię jego despotyzm.

Zygmunt (*z ironią*). Przecie to cecha męzkości.

Klementyna. Nie sądzę. Ja myślę, że i lada lalka w modny garnitur ubrana, potrafi swoję wolę narzucać i despotyzować, jakby miał prawo do tego.

Zygmunt. A zatem pani uznaje, że są okoliczności nadające to prawo?

Klementyna. Przecież zdarza się, że człowiek rozumny weźmie za żonę prostą wietrznicę, która zeszłaby na bezdroża, gdyby jej nie powstrzymał swoją przewagą. Zdarzają się też słabe istoty, miękkie jak puch, niezdolne ustać o swojej sile—wasze ideały przecie!—a takie muszą szukać podpory.

Zygmunt (*z ironią*). I to pani takie rzeczy mówi?

Klementyna. A ja — com patrzyła, jak takim biernym istotom usuwały się zpod ręki podpory, budowane na lotnym piasku, który wiatr każdym podmuchem rozsypuje na wszystkie strony.

Zygmunt. A tymczasem, przecież to panie sobie zostawiły monopol lekkości.

Klementyna. Oddałyśmy go wam w zupełności... dzisiaj zmieniły się role... rzuciliście wasze znamiona: energią, siłę i wolę, więc je kobiety podjąć musiały. Dawniej — gdyście byli od nas umysłem wyżsi, a charakterem silniejsi, mogłyśmy was za panów uznawać; ale czas ten minął i już nie wróci.

SCENA 3-cia.

Ciż sami — Edward (*który przez drzwi otwarte słyszał ostatnie słowo Klementyny*):

Edward. Tak pani sądzi?

Natalia (*żywo*). Och! wiadomo, że pan będzie innego zdania! przecie według pana wy, władzcy stworzenia, panowie świata, macie zawsze prawo rozkazywać—a my, jak pokorne poddanki, powinnyśmy z oczu waszych odgadywać życzenia i natychmiast je spełniać — bo to nasze szczytne powołanie!

Edward (*spokojnie*). Przypuśćmy.

Klementyna (*z ironią*). Tylko, że te pokorne poddanki są niemi najczęściej z pozoru tylko... że zostawiając wam pozory, samą władzę zabierają sobie. Ktoś kiedyś powiedział, *l'homme règne, et la femme le gouverne.*

Edward (*j. w.*). To zupełnie zależy od mężczyzny i od kobiety.

Klementyna. A naturalnie. Jeżeli znajdzie się kobieta rozumna, poważna, a jeszcze fama pójdzie, że wykształcona, będziecie uciekali od niej, jak od morowego powietrza. Ale niechaj się zdarzy kokietka, co potrafi w waszę słabą stronę uderzyć, pozować na uwielbianie was bez granic—o! poprowadzi was ona na nitce jedwabnej, gdzie sama zechce.

Edward (*spokojnie*). To także od mężczyzny zależy. Odstręcza nas, nie wykształcenie, nie uczoność nawet, ale pedantyzm i pozowanie na rozum. Czy panie lgną do takich mężczyzn, do mólów uczonych, do pedantów, albo też do blagierów?

Natalia. Rozumie się, że nie.

Edward. Dlaczegóż nam to poczytywać za zbrodnią? Jeżeli zaś niejednego pociągnie kokietka... hm... wierzcie mi, panie, pójdzie on za nią tak daleko, póki zysk będzie po jego stronie—i potrafi cofnąć się w porę...

Natalia (*z goryczą*). O! ja sądzę, że jesteście tak bardzo panami siebie tylko wobec tych, co nadto szanują się, aby w całem tego słowa znaczeniu zagrać na waszych nerwach—tym, zaś co dużo stawiają na kartę, łatwo wziąć górę nad wami.

Edward. Jeżeli kobieta ma do czynienia z mężczyzną, choćby tylko uczciwym, nigdy nie pożałuje tego, że zda się na jego łaskę i niełaskę.

Natalia *patrzy mu w oczy przeciągle, wreszcie zmieszana spuszcza oczy i zwolna wychodzi.*

SCENA 4-ta.

Klementyna, Zygmunt—*siedzą na przodzie sceny.* **Edward** *bierze gazetę i siada w głębi.*

Zygmunt (*po dość długiem milczeniu, zwracając się do zamyślonej Klementyny*). Czy pani myśli o kwadraturze koła?

Klementyna (*obojętnie*). Nie.

(*Milczenie; Klementyna patrzy w górę*).

Zygmunt (*po chwili*). Proszę pani, co jest ciekawego w suficie?

Klementyna. Tosamo, co w podłodze.

Zygmunt. Niewiele się dowiedziałem. Ano—próbujmy z innej beczki...

Klementyna (*z flegmą*). Z żadnej pan nic nie zaczerpnie.

Zygmunt. Czy dlatego, że wszystkie puste?

Klementyna. Te przynajmniej, do których pan dostać może.

Zygmunt (*z ironią*). Czy za wysoko dla mnie stoją?

Klementyna. Nie wiem — może to pan jesteś za mały.

Zygmunt. Mogę przecież wejść na krzesełko.

Klementyna. Może się z panem przewrócić.

Zygmunt. Postaram się równowagę utrzymać. Ryzykować wolno przecież.

Klementyna. A któżby mógł panu zabronić!

(*Znowu milczenie*).

Zygmunt. Proszę pani, czemu to ogień piecze?

Klementyna (*z flegmą*). Żeby ci, co nie umieją z nim się obchodzić, nie mieli ochoty używać go za zabawkę.

Zygmunt. Aha... (*po chwili*). Czemu to słońce zachodzi co wieczór?

Klementyna. Aby zobaczyć, czy na drugiej półkuli jest choć jeden podobny do pana.

Zygmunt. Pho! to ja jestem osoba! A coby pani powiedziała, gdybym teraz skoczył w wodę?

Klementyna. Że zimna kąpiel niezmiernie przyda się panu.

Zygmunt. Pewny byłem, że to usłyszę. A gdybym spadł na bruk z trzeciego piętra?

Klementyna. Skonstatowałabym fakt, że panu zakręciło się w głowie.

Zygmunt. To zupełnie podobne do pani; (*milczenie—po chwili*:) Chce pani, żebym się wdrapał na ten świerk?

Klementyna. A cóż mnie to może obchodzić?

Zygmunt (*pół żartem—pół seryo*). Więc nic—nic co się mnie dotyczy, pani obejść nie może? więc dla towarzysza zabaw dziecinnych, dla krewnego, dla człowieka, który, jak pani wie dobrze, za panią poszedłbym w ogień i wodę, pani nic—nic zupełnie nie czuje? więc ja nawet chwili rozmowy nie jestem wart—że już nie wspomnę o żadnem serdeczniejszem słowie.

Klementyna (*mocno zmieszana*). Ach! cóż znowu—proszę—nie pora, nie miejsce mówić o moich uczuciach...

Zygmunt. Czemu?

Klementyna (*j. w.*). Bo... bo nas tu zawiele.

Edward (*powstając, z flegmą*). Mogę wyjść.

Klementyna (*obraca się przestraszona*). Ja—ja pana nie widziałam wcale... co za przypuszczenie.. proszę, przeciwnie, zostań pan.

SCENA 5-ta.

Ciżsami—Natalia (*wbiega*).

Natalia (*patrząc po obecnych*). A to co?

Edward. Panna Klementyna nie chciała z Zyg-

muntem mówić o uczuciu, gdyż było nas tu za wiele—chciałem wyjść, ale każe mi zostać.

Natalia (*śmiejąc się*). Może to tylko przez grzeczność?

Klementyna (*niecierpliwie*). Jeżeli ktoś umyślnie rozumieć nie chce... (*podchodzi do drzwi*).

Edward (*śmiejąc się*). Ależ naprawdę, nie rozumiem o co pani chodzi?

Klementyna (*j. w.*). O nic... (*wychodzi*).

Zygmunt. Masz tobie! obraziła się! Otóż to skutek, gdy się kto nieproszony miesza (*wybiega za Klementyną*).

SCENA 6-ta.

Natalia—Edward.

Natalia. Cóż to znów za pretensya do pana?

Edward. Prosty wybryk złego humoru.

Natalia. Dlaczegóż panu się dostał?

Edward. Bo byłem pod ręką.

Natalia. Ech! bo też Zygmunt przekorny jak dzieciak i drażni ją.

Edward. Nie wiem kto tu kogo drażni? Zygmunt chłopak serdeczny, przepada za nią, a ona go traktuje jak natrętnego dzieciaka... Jabym się już dziesięć razy zniechęcił do niej.

Natalia. Och! pan! ja wiem i bez tego, że pan jesteś najszkaradniejszym człowiekiem, jakiego mi się zdarzyło spotkać w życiu!

Edward. Czy dla tego, że nie dałbym z siebie żartować?

Natalia. A któżby z pana żartował?

Edward. Choćby i pani... (*wygląda przez okno*). Dla kogo to siodłają konia?

Natalia (*z niewinną minką*). Dla mnie. Mam ochotę przejechać się.

Edward. Czy dlatego, żem panią tak bardzo prosił, aby pani na tym koniu nie jeździła?

Natalia (*przekornie*). Czy dlatego, że pan miewa kaprysy, ja mam się przyjemności pozbawiać?

Edward. Kiedy to wcale nie przyjemność dla pani. Pani wtedy jeździ konno, gdy chce komu zrobić na złość.

Natalia. Ciekawam, co to może komu szkodzić?

Edward. Wie pani doskonale, że szkodzi—i dla tego też na przekorę pani robi... Koń jest bystry, nieujeżdżony, a pani nie ma pojęcia o jeździe konnej... i patrzeć tylko, jak panią spotka co złego.

Natalia (*rozdrażniona*). Jeżeli spotka, to mnie, a nie kogo innego; do siebie mam wszelkie prawo i mogę robić co mi się tylko podoba.

Edward. Oile to pani nie szkodzi.

Natalia. Czy szkodzi, czy nie szkodzi, nikomu nic do tego!

Edward. Pani mówisz jak dziecko!

Natalia (*zrywa się*). Jeśli rozmowa wchodzi na tor impertynencyi, daruj pan, ale ich słuchać nie myślę!... (*idzie ku drzwiom*).

Edward (*zastępuje jej drogę*). Teraz obraź się pani w dodatku!

Natalia (*z gniewem*). Proszę, daj mi pan pokój.

Edward. Ani myślę... (*bierze ją za obie ręce, podnosi je do ust i opierającą się, trochę przemocą doprowadza do fotelu i sadza*).

Natalia. Jesteś pan nieznośny!

Edward. A pani zato niemożliwie rozpieszczonym dzieciakiem, któryby nie usnął spokojnie, gdyby porządnie nie nadokuczał ludziom.

Natalia (*żywo*). Proszę dodać, że jestem kapryśną...

Edward. To przecie każdemu wiadomo.

Natalia (*coraz prędzej*). Złą jak Lucyper...

Edward. Nie, nie tyle.

Natalia (*j. w.*). Ograniczoną, źle wychowaną, bez taktu, bez rozumu, bez serca, bez logiki, bez charakteru...

Edward (*spokojnie*). No—i co dalej będzie?

Natalia (*z gniewem*). To będzie, że idę się przebrać, bo mi się koń zniecierpliwi.

Edward (*spokojnie*). Po co przebierać się, kiedy pani nie pojedzie?

Natalia (*z ironią*). Doprawdy? a któż mi zabroni?

Edward (*j. w.*). A choćby ja.

Natalia (*j. w.*). Nie może być? a wolno wiedzieć jakiem prawem?

Edward (*j. w.*). Prawem, które ma każdy rozsądny człowiek, gdy idzie o niedopuszczenie do szaleństwa—przepraszam za wyrażenie.

Natalia (*z ironią*). Czy to ma być uprzejmość?

Edward. Trudnoż panować nad sobą, gdy się widzi coś podobnego.

Natalia. Najlepiej wtedy nie patrzeć.

Edward (*bardzo poważnie*). Zdaje się, że na tem trzeba będzie skończyć.

Natalia (*przekornie*). Czy to ma być groźba?

Edward (*j. w.*). Nie sądzę, aby to panią obchodziło.

Natalia (*wyniośle*). Myśl pan, jak się panu podoba.

Edward. Czy pani to wszystko jedno?

Natalia. Przymusu, stanowczo, nie zniosę.

Edward (*bierze ją za rękę pieszczotliwie*). Nie pojedzie pani—prawda?

Natalia (*wyrywa rękę*). Właśnie pojadę!

Edward (*lodowato*). Nie mam prawa zatrzymywać pani—jak sama przed chwilą mówiłaś—życzę zatem dobrej zabawy... (*kłania się bardzo nizko i wychodzi szybko*).

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Rozczarowanie—to zwykła kolej ułudnych marzeń i nadziei.

Smutno, że tak pessymistycznem zdaniem rozpoczynamy dzisiejszą pogawędkę, lecz zaraz się czytelnicy nasi przekonają, czy nie mamy słuszności wyrzekać. Oto dyrekcya teatrów, *extra* interessujących występów panny Russel, zapragnęła dać miłośnikom opery inną jeszcze attrakcyą, i w tym celu sprowadziła pana Salto, pierwszego tenora i pannę Rossini, primadonnę. Publiczność zaś, przywykła od niejakiegoś czasu nader miłe wrażenia unosić z opery, spodziewała się słusznie, iż tylko chęć podniesienia owych wrażeń o stopień wyżej skłania dyrekcyą do pewnych urozmaiceń personelu.

Ciekawość budziła głównie panna Rossini, tembardziej, iż występy tej śpiewaczki już od paru tygodni goszczącej w naszych murach, długo nie przychodziły do skutku, pomimo kilkakrotnych dziennikarskich zapowiedzi. Niestety, kiedy nakoniec oczekiwana „Aida“ ukazała się z panną Rossini w roli naczelnej, zarówno publiczność, jak i krytycy spadli z obłoków, albowiem, ani brzmienie głosu, ani sposób śpiewania, ani też akcya nie mogły zadowolić dobrego smaku. Nad skalą głosu i jego dźwięcznością, nie będziemy się tu krytycznie zastanawiali. Głos, mniej lub więcej piękny i trwały, jest przedewszystkiem darem natury, i jako taki, może albo zachwyt obudzać, albo bierne zadowolenie, albo, jak u panny Rossini, czasami nieprzyjemnie razić; w każdym jednak wypadku, za sam materyał głosowy nie potępia się artysty, ani też nie powinno się, jak to *np.* powszechnie czynimy z Mierzwińskim, w bezgranicznem tonąć uwielbieniu i bić kornie czołem.

Inna rzecz, gdy chodzi o stopień artystycznej doskonałości, który zdobywa się racyonalnemi studyami i rozwojem poczucia estetycznego. Tu już krytyka milczeć nie może; sposób śpiewania jest czynnikiem tak ważnym, iż częstokroć, artystów z nadwerężonym głosem, ze względu na pyszną metodę, na szlachetną dykcyą,—stawiamy na piedestale, wskazując, jako przykład dla młodszych koryfeuszów sztuki, jak ją rozumieć i uprawiać należy.

Panna Rossini takim dobrym przykładem być nie może: bezustanna szarża dramatyczna i forsowanie głosu w wyższym regestrze, brak przejściowych modulacyi i niepomiarkowanie krzykliwe akcenta, ujemne wyobrażenie dają o jej talencie. Akcya, ogólnie biorąc, idzie o lepsze ze śpiewem pod względem przesady; są wszakże odbłyski głębszej reflexyi, *np.* scena w „Aidzie“, gdy wprowadzają skrępowanych jeńców a bohaterka oczyma ich śledzi i ruchem niespokojnym zdaje się ku nim wyrywać, jakgdyby znajomej wśród spółziomków szukając twarzy; jest to charakterystyczne i trafne. Podobnież trafne odcienie zauważyliśmy i w innych scenach. Ale tego wszystkiego zamało—zamało, zwłaszcza, iż na tydzień przedtem słyszeliśmy w tejsamej „Aidzie“ pannę Russel, która tę partyą tak napozór dla siebie nieodpowiednią, oddała pięknie, naturalnie, z dostateczną siłą i nastrojem dramatycznym.

Pan Salto pierwszy i drugi raz wystąpił również w „Aidzie“. Należy on do liczby artystów, którzy odrazu pozyskują sobie audytoryum, dźwięczną i umiejętną wymową tonów. Jest to śpiewak szkoły włoskiej; widać to w pełnej i jędrnej emissyi głosu, w wybornem użyciu oddechu, i w gorącym uczucia wylewie; bez szarży jednak, z rzeczywistym artyzmem, moderuje p. S. zbytnie tego uczucia porywy, doskonale uwypukla frazy muzyczne, a cieniowaniem uwydatnia dobrze pojętą partyą, oraz utrzymuje płynność i jednolitość brzmienia, tak cenioną u śpiewaków.

W dziedzinie opery jeszcze musimy zaznaczyć wznowienie „Manon“ Massenet'a, z całym przyborem odświeżonych dekoracyi i wspaniałych kostyumów. Muzyka tej opery umocniła nas w przekonaniu, iż libretto wpływa na natchnienie i polot myśli kompozytora, jeśli ten, wnikając w treść, pragnie utworzyć ściśle zespoloną z nią całość, nie zaś muzykę oderwaną, jaka, na wzór niektórych oper włoskich, mogłaby się nadawać do jakiegobądź libretta. Otóż treść „Manon“ należy do liczby takich, które nie mogą wznieść kompozytora w świat podniosłych idei, lecz skrzydła jego ściągają ku ziemi. Dlatego, oprócz kilku porywających momentów, całość muzyczna jest raczej zręczną, błyskotliwą, niekiedy nawet bardzo interessującą, lecz mało natchnioną; w każdym razie banalności tam niéma, a symfonicznie opracowana część orkiestralna stawia „Manon“ w rzędzie oper poważniejszego stylu. Śpiew i gra panny Roussel nie pozostawiały nic do życzenia; obdarzono też artystkę hojnie kwiatami. Pan Myszuga oddał swą partyą bardzo starannie.

Z początkiem bieżącego miesiąca powitaliśmy z radością drugi koncert symfoniczny tego sezonu pod dyrekcyą pana Rzebiczka. Przybyły z Petersburga Leopold Auer, nadworny solista skrzypek, grą swoją ten koncert uświetnił; nie mniejszą jednak siłę przyciągającą stanowiła symfonia pana Rzebiczka op. 10 poraz pierwszy u nas wykonana. Symfonia! Już sama nazwa dzieła budzi w nas pewne pojęcie wielkości i daje wyobrażenie o niezwykłym nastroju umysłu kompozytora i o jego głębszej nauce. Lecz za to, im trudniejsze zadanie stawia sobie kompozytor, tem więcej odeń wymagamy, traktując wielki utwór, już nie jako próbkę, lecz jako zupełny już wykwit talentu.

W Symfonii pana Rzebiczka, zaimponowało nam wiele rzeczy bardzo pięknych: instrumentacya świeża, przejrzysta, nieprzeładowana zbytecznemi effektami, styl szlachetny, wykształcony na klassycznych wzorach. Ze składowych części najwyraziściej występuje Scherzo, będące wiązką malowniczych tonów, jakgdyby onomatopeją odgłosów natury, świegotu ptasząt, fletni górskiego pastuszka—odgłosów zawsze powabnych i pełnych niespodzianek. Ale tam, gdzie autor wypływa na szersze tematyczne przestwory, trudniej jest pochwycić oryginalną, samodzielną strunę jego natchnienia. Nie dziw: taki zastęp wielkich mistrzów poprzedza tegoczesną epokę twórczą, tak osłuchani jesteśmy z arcydziełami, że mimowoli co chwila, wpływy ich się dostrzega, zarysy ich natchnień odczuwa.

Wiedzą to dzisiejsi kompozytorowie, i dla uniknięcia naśladownictwa zwracają się na pole swojskości, ku atmosferze, w której wzrośli, ku źródłom, jakie wytryskują z ich rodzimej gleby; tym sposobem indywidualność ich wzrasta, a twórczość wydaje z siebie dzieła takie, jak: Symfonia i „Morskie oko“ Noskowskiego lub „Tatry“ Żeleńskiego.

Tej indywidualności nie mogliśmy prawie ani śladu odnaleźć u pana Rzebiczka; temata jego, nieprzeprowadzone jednolicie, *tout d'une pièce*, są niejasnemi przypomnieniami już kędyś zasłyszanych, a rozwiewność, w jakiej się przez to cała symfonia rysuje, brak spójni w głównych pomysłach, czynią to dzieło mrocznem pomimo świetnej instrumentacyjnej krasy.

Dwukrotny występ pana Leopolda Auera dał muzykalnemu światu niezapomniane wrażenia. W teatrze usłyszeliśmy koncert Beethovena, oraz mniejsze utwory: Czajkowskiego, Wieniawskiego, Brahmsa i własne koncertanta. Wykonanie przedstawiało się pod względem technicznym na stopniu, jaki dzisiejszym arcy-wygórowanym wymaganiom zadość czyni, a raczej nic nie pozostawia do życzenia. Przytem, tak spokojnie, bez affektacyi płyną zpod smyczka wirtuoza te perliste kaskady tonów, ten tryl równiutki, szybki, ślicznie cieniowany, że słuchacz w biernym zachwycie nie zdaje sobie nawet sprawy z trudności, jakie wirtouz pokonywa. Nadomiar, śpiewność tonu poprostu pieści ucho swoją słodyczą i w każdej najmniejszej kompozycyi podnosi barwę poetyczną, idealną. Jednakowoż utwór taki, jak koncert betowenowski, domaga się jeszcze innych czynników wykonawczych; domaga się potęgi tonu, siły niehamowanej pieszczotliwością; przeto też, w interpretacyi pana Auera wyszedł zablado, stracił tę jędrność, na której opierają się szerokie i poważne jego okresy. W Towarzystwie Muzycznem pan Auer odegrał ósmy koncert Spohra (Gesangscene), dzieło nieco przedawnione, mało zajmujące dla melomanów; za to istne *furore* zrobił wykonaniem własnej, bardzo ładnej Tarantelli i Etiudy Poppera (Prządka) również we własnym układzie. Oprócz tego interpretował Schuberta, Czajkowskiego, Brahmsa, z niezawodzącą nigdy techniką, subtelnością i piętnem artyzmu. Dział wokalny tego wieczoru przyjęli na siebie: panna Karska amatorka i p. Franciszek Cieślewski, którego staranny, umiejętny śpiew zawsze przychylną zwraca uwagę.

Mówiąc o Towarzystwie Muzycznem, musimy powrócić wspomnieniem do poprzedniego wieczoru, w którym wystąpili: znakomity nasz fortepianista Michałowski, Miller (bas), i panna Jadwiga Dylewska amatorka, obdarzona miłym nader głosem. Jakkolwiek dokrze wiemy, że młode debiutantki lękają się krytyk, obowiązek nie pozwala nam zamilczeć, iż wybór repertoaru panny Dylewskiej, mianowicie arya z op. „Semiramis" przechodzi zupełnie jej siłę. Wiele pracy i wyrobienia potrzeba, iżby głos uczynić podatnym do koloratury, przedwczesne zaś porywanie się na dzieła zbyt trudne psuje materyał głosowy i źle wpływa na prawidłowe rozwinięcie skali. Zaznaczając to, nie mamy zamiaru odradzać amatorskich debiutów, owszem, dobra rada może mieć niekiedy znaczenie, i zasługą jest ze strony Towarzystwa, że na estradę powołuje od czasu do czasu utalentowanych amatorów. W ogóle wieczory Towarzystwa są bardzo urozmaicane i starannie urządzane.

Konserwatoryum nasze zakończyło już swą ostatnią seryą koncertów muzyki kameralnej. Dały one możność usłyszenia dzieł poważniejszych, mało znanych lub nietkniętych oddawna, jak np. „Waryacye" Antoniego Stolpego, który tak młodo osierocił sztukę, pozostawiając w utworach swoich cechy wybitnego talentu; dalej — kwartet czeskiego kompozytora Dworzaka, tchnący rodzimą świeżością motywów; ciekawy pod względem rytmiki i harmonizacyi kwartet smyczkowy Volkmana; piękny kwartet Schumana op. 41, Trio Bargiela, sonatę na fortepian i skrzypce Raffa, oraz Oktet Mendelssohna, wspaniałej pomnikowej, rzec-by można, budowy, gdzie od posad aż do szczytu znać rękę mistrza, umiejącą wszystkie artystyczne szczegóły zjednoczyć w całość, w jednym planie i duchu wytworzoną. Nowa serya koncertów kameralnych rozpocznie się dopiero w jesieni.

Juliusz Stattler.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 1 go Marca 1890 r.

Filip Książę Orleański.—Jego przyjazd do Paryża i uwięzienie. — Łagodność zimy i piękna pogoda. — Książę Leon Sapieha w powrocie z podróży na daleki Wschód.— Jeszcze sprawa Gouffé'go i list z Warszawy zpowodu Gabryeli Bompard.— Zimne i obojętne resztki karnawałowe. — Literatura, nowa szkoła i nowa literacka choroba. — Nowe książki. — „Souvenirs intimes de la Cour des Tuilleries", przez panią Carette. — Ciekawa książka niedawnej przeszłości. — Anegdota o ks. Bismarcku.—„Elekcya w Tigre sur Mer", album satyryczne przez Gypa (Pani Martel) — Ważna książka: „Więzienia Paryzkie" przez P. Guillot'a. — List Alfonsa Daudeta (kwestya akademicka) — Wystawa Malarstwa i Rzeźby. — Stowarzyszenia kobiet artystek. — Wybryki młodego wnuka Wiktora Hugo.

Najważniejszym wypadkiem i, jak tu powiadają, „najgrubszym ćwiekiem, Lutego" był przyjazd do Paryża starszego syna Hrabiego Paryża, księcia orleańskiego, Filipa.

Wiecie zapewne, że prawo banicyi, wydane w d. 8 Czerwca 1886 r. przeciw wszystkim członkom rodzin panujących dawniej we Francyi — wzbroniło powrotu rodzinie Hr. Paryża do kraju — i absolutnie pozbawiło ją wszelkich praw obywatelstwa politycznego.

Zdziwienie było więc niemałe, kiedy dzienniki poranne, 8 Lutego, podały następującą wiadomość:

„Ks. Orleański, starszy syn Hrabiego Paryża, przybył tu wczoraj, pomimo prawa banicyi; został przytrzymany i odprowadzony do więzienia w Conciergerie". Jest to więzienie znajdujące się w obrębie pałacu sprawiedliwości na lewym brzegu Sekwany.

Książę przyjechał potajemnie, w jawnym celu stawienia się w biurze rekrutowania, dla wypełnienia obowiązku służby wojskowej w terminie przepisanym dla wszystkich Francuzów, którzy doszli do pełnoletności — to jest — jak obecnie od 15 Lipca 1889 r., wskutek wydania nowego prawa — 21-go roku życia. Poprzednio wiek popisowy zaczynał się już zaraz ze skończonym rokiem dwudziestym.

Widocznie młody książe, ważąc się na taki krok, wiedział dobrze co go czeka. Prawo banicyi jest wyraźne w tym względzie. Artykuł III opiewa: „ten, kto łamiąc to prawo, wykryty będzie z pobytu swego we Francyi, w Algeryi, albo w koloniach, skazany zostanie na więzienie od dwóch do pięciu lat, a po odsiedzeniu wieży odstawiony do granicy".

Rząd pomimo wszelkich usiłowań Orleanistów—a ci są tu, liczni i możni—oparł się podsuwanej radzie: odesłania młodego księcia *illicò* zagranicę i zastosował do niego tak wyraźne prawo, a prawdę mówiąc, nie mógł inaczej postąpić wobec izby poselskiej, w której panuje większość republikańska, wrogo dla dawnych dynastyi usposobiona. Po dopełnieniu formalności prawnych odesłano ks. orleańskiego na wysiedzenie dwóch lat wieży do centralnego więzienia w Clairvaux.

Dziwne są drogi opatrzności! Clairvaux, dziś więzienie, przeznaczone, dla zbrodniarzy i politycznych przestępców, skazanych na wieżę, jest dawniejszym klasztorem Benedyktynów — którzy ztąd w Wiekach Średnich szli na świat, niosąc pochodnie wiary i oświaty.

Całe zajście z księciem orleańskim sprawiło daleko mniej wrażenia, niżeli można się było spodziewać. Stronnictwa legitymistowskie i orleanistowskie poruszyły wprawdzie wszystkie swe organa; ale, jak powiadam, wszystko się ograniczyło do tych kół politycznych: ogół pozostał, jeżeli nie obojętnym, to spokojnym. I to wystąpienie młodego księcia, chociaż w niem złożył dowód odwagi i rzutności, nie ma wielkiego wpływu na przyszłość. A teraz...

Po przejściu morowej zarazy, natura, jakby łagodząc zadane razy, uśmiechnęła się uroczo Paryżanom. Mieliśmy, i dotąd mamy jeszcze, tutaj nawet wyjątkowo łagodną zimę. Oprócz kilku dni wietrznych i mroźnych, nie mieliśmy naprawdę zimy, ani płatka śniegu — rzadkie mgły—słońce i pogoda; a teraz kiedy już wysoko na niebie słonko nam przyświeca, jesteśmy jak u Boga za piecem.

Nie wszędzie tak jest we Francyi. Listy i telegramy, nadchodzące z Nicei i z całego wybrzeża Morza Śródziemnego, z owej zaczarowanej krainy, *wo die Zitrone blüht*, opowiadają nam: o śnieżycach, o przerwanych kommunikacyach dróg żelaznych, o prawdziwej północnej, a tam prawie nieznanej, zimie. Mądrze ci zrobili, co, nie czekając, pojechali zaraz do Syryi, do Egiptu i do Algeryi; unikając influenzyi, uniknęli śnieżycy i odmrożenia rączki, co się zowie: *les engelures;* u nas nieznane wcale — ja przynajmniej, nigdym tego nie praktykował na sobie.

Ale, ale — mówiąc o tych, co poszli na wschód za słońcem, nie zapomnijmy o naszym młodym podróżniku księciu Sapieże, który świeżo wraca z dalekiej i długiej podróży po wschodzie, — nie po tym Wschodzie, tak już wyczerpanym, Azyi Mniejszej — ale po tym dalekim, ostatecznym — dalszym, niż prastare Indye: po Chinach, Japonii i Archipelagach Oceanu Spokojnego.

Książę Leon Sapieha należy do rodziny zamieszkałej teraz w Galicyi. Młody, wygląda młodziej jeszcze; szczęśliwy, ledwie mu się czarny zasiewa wąsik; szczupły i wiotki, o ruchach pełnych, jakby niewieściej, swobody, ma już umysł poważny; umiarkowany w słowie, czyni wrażenie człowieka, z którym należy się rachować i który nam zapowiada, że swoję tarczę herbową potrafi udźwignąć dostojnie. Rozmowa z młodym, który tyle już świata zwiedził, nie zawodzi ciekawego. Rozmowa ta jest interessująca, prawie kaptująca, bez przesady wszakże i bez cienia pozy. Książę ma zamiar ogłosić swoje wspomnienia z tych dalekich podróży. Witamy go więc serdecznie — i czekamy na spełnienie nadziei, które nas nie zawiodą z pewnością, oile wolno miarkować z tego, co nam udziela jego ustna rozmowa.

W ostatnim liście, jako wierny i baczny kronikarz na swe rzemiosło, zdałem wam sprawę z tego, co głównie zajmowało publiczność paryzką wciągu ubiegłego Stycznia — a w liczbie przyniesionych faktów znajdowała się, naturalnie, i relacya o morderstwie tajemniczem Gouffé'go i o zeznaniach spólniczki tego zabójstwa Gabryeli Bompard.

W tem pobieżnem zdaniu sprawy—bo czyż mogę nad każdem tego rodzaju zdarzeniem, choćby nawet ważnem, rozszerzać się na kartkach, gdzie mi tak skromne wydzielone jest miejsce? — a więc w pobieżnem zdaniu sprawy, nie pamiętam — ale nie zdaje mi się, abym w czem ubliżył godności „płci pięknej" jeżeli ma prawo liczyć się do niej taka istota, jak owa Gabryela — przykuta do ławy sądu kryminalnego. Otóż pokazuje się, że mimo mego mniemania, stało się inaczej.

W tej chwili otrzymuję list z Warszawy nieznanej mi wcale korrespondentki—niepodpisany, — co już jest znak fatalny w tego rodzaju sprawach... ale pisany na ładnym papierze i pociągiem pióra, który dowodzi nietylko kaligraficznej wprawy autorki, ale nawet długiej i dawnej wprawy w to rzemiosło — nie mówię o rzemiośle pisywania bezimiennych listów — bo to, powiedzmy prawdę, za brzydkie rzemiosło dla pięknej rączki — ale o rzemiośle pisarskiem w ogólności.

Bystra i porywcza korrespondentka zaczyna od rzeczy wcale nieprzyjemnych,—dotkliwych, bo mi powiada bez ogródki, że gdy się człowiek (mężczyzna) *postarzeje*, najlepiej-by zrobił, nie dotykając się bynajmniej do tego, co stanowi — *dominium (!!)* kobiety. Bardzo wierzę—ale też właśnie, jeżelim kiedy i wkroczył w to zaczarowane *dominium*, to jedynie po to tylko, aby oddać pochwały i przyklasnąć wszystkiemu, co pochodzi od najpiękniejszej cząstki stworzenia!

Dalej, pisze panna R**, bo taki jest podpis, że wydając sąd przed wszelkim sądem o Gabryeli Bompard — popełniłem czyn, którego moja korrespondentka nie chce kwalifikować — (no, proszę!) i dałem dowód, że wiek nie obciążył mej głowy zbyt wielką *wagą rozwagi!* — Słowem:

półtorej ćwiartki najdotkliwszych wyrzutów — i za co? i po co? Chyba, że ta panna Bompard tutejsza — ma jaką siostrę lub krewną w Warszawie...

Zatrzymuję się tu jednak—i za całą odpowiedź dodam, że Eyraud, zabójca Gouffé'go, według zeznania Gabryeli Bompard, które, jak dotąd, należy uważać za rzetelne, nie został jeszcze ujęty... A z całej sprawy wychodzi to zapytanie: jak mógł być powód, aby się Gabryela sama oddała w ręce sprawiedliwości? — tembardziej, że zdaje się, jak gdyby nie zdawała sobie prawdziwego rachunku z położenia, w jakiem się znajduje jako wspólniczka.

Co zaś do panny R... na moje usprawiedliwienie powiem tu tylko: oto co w tej mierze napisał jeden z najznakomitszych ludzi w sądownictwie francuzkiem:

„Czyż nie jest to zadziwiającą rzeczą widzieć, z jakim szacunkiem, z jaką uprzejmością, cała prawie nasza prassa obchodzi się z kobietą, która pod pozorem rozpusty zaciągnęła nieszczęsnego Gouffé'go i uczestniczyła w jego morderstwie? Już-to nazywają ją nieosobiście „młoda kobieta“ — już-to „biedna hysteryczka“ „Gabryela“, „piękna Gabryela“ wówczas, kiedy poprostu, należało-by powiedzieć: „niejaka Bompard“ albo „obwiniona“... Interessują się okrutnie: co ona mówi, co robi?—opisują jej ubiór — zapisują wybuchy jej śmiechu—jednem słowem: pomagają jej otrzymać powodzenie ciekawości, to właśnie czego ona sama pragnęła najwięcej.

„A tymczasem ani słowa współczucia dla dwóch biednych, uczciwych dziewcząt, które wskutek zbrodni popełnionej przez tę „wykwintną młodą niewiastę“—przeszły przez wszystkie męczarnie niepewności, nim doszły do poznania okropnych szczegółów zamordowania ich ojca: stanu i położenia trupa, urzędowej sekcyi, pociągnięcia nakoniec jego pamięci pod pręgierz naprzód przez reporterów a następnie przez adwokatów, broniących zbrodniarzy!“

Oto cała moja odpowiedź pannie R... niech się więc przekona, jak tutaj patrzą na tę sprawę.

Czy starzejący się świat zaczyna naprawdę się nudzić? Czy tak jest wszędzie jak tutaj?—Ale oto ów sławny karnawał, owe niegdyś prawdziwie dnie szalone, — wszystko to poszło w niepamięć—i skończyliśmy, nudy i zwątpienie, na dziecinnych zabawkach. Tak owe sławne, tuczone woły, o złoconych rogach, które niegdyś oprowadzano z muzyką, w assystencyi świetnego z pozoru przynajmniej orszaku—ów sławny „*Le bouef Gras*“—wszystko to zniknęło z przeszłorocznemi śniegami—i dziś, śladu nawet nie zostało — gdzie była Troja!

Pytam się: czy tak jest wszędzie na świecie? Kiedy tu, gdzie są tak zwykle pochopni do wszelkiej zabawy—kiedy w Rzymie gdzie te karnawałowe zabawy były pewnego rodzaju obowiązującą spuścizną przeszłości, przestano się bawić... a przynajmniej udawać zabawę—gdzież teraz znajdzie człowiek powód i sposobność do uciechy — do takiej uciechy, jaką, jeszcze pamiętam, żem się nasycał w moje młode lata?..

Paryż był do niepoznania w te trzy dnie ostatnie karnawałowe. Wprawdzie w tłusty Wtorek, aby nie złamać ze starą tradycyą — Paryżanie wylegli całą massą na owe sławne bulwary — ale na tych bulwarach, znaleźli się wobec własnych znudzonych osóbek, włócząc się bez celu i bez racyi, wśród zimnej i mglistej atmosfery—i za całą uciechę mając kilku obdartusów, przystrojonych w brudne, zaszargane łachmany— a od czasu do czasu, powóz wiozący najmilszych dzieciaków, postrojonych i szczęśliwych! A to byli szczęśliwi i prawdziwie rozradowani uczestniczy karnawałowej uciechy — i gdyby nie oni— świat-by zapomniał starego Bachusa... A, niestety! potrzeba wyznać, niezabawne jest życie — gdziekolwiek spojrzysz, bieda, cierpienie—znużenie i bieda!..

Gdzież jest ratunek i ochrona? Może w literaturze? Oto mam przed sobą stosy całe książek... A jakich książek! — A mają tu oni, ten świerzb odwieczny, ten *pruritus* języka i pióra, który wytwarza nawał i świat cały zalewa; ale, niestety, nim w tej mętnej i ogromnej powodzi znajdziesz grubą rybę, ileż-to lichoty, a nawet brudnego śmiecia, zabrudzi ci ręce!

Jest-to dziś prawdziwą chorobą, to rzucanie się nieoględne na fale mętów literackich. Choroba ta jest może odwieczna w swej naturze i w bycie swoim—ale widoczną jest rzeczą, że od czasów średniowiecznych naiwnych i mozolnych produkcyi, grzebiących się cierpliwie robotników pióra, w przetlałych resztkach spuścizny starego świata; od czasu potężnych szermierzy, siedmnastego i ośmnastego wieku — choroba ta uczyniła dziwne i groźne postępy.

A przyczynę jej łatwo odgadnąć i wytłómaczyć - widząc ten straszny stopień wycieńczenia, umysłów i serca! Najpierw starość, zgrzybiałość literatury, która, wyczerpawszy wszystkie sposoby i zasoby twórczości—sprawia, że wynalezienie czegoś nowego staje się, nietylko trudnem, ale niepodobnem absolutnie. Aby zastąpić ten brak pomysłowości, ci nieszczęśliwi przykuci do taczki literackiej—muszą się uciekać do pewnego rodzaju haszyszu, którego wpływy na nerwy zbolałe wytwarzają ten niepokój, ten gwałt, mający zastąpić brak natchnienia...

Następnie, w miarę jak daje się uczuwać ten brak siły i męztwa heroicznych czasów literatury — płody jej stają się coraz-to popłatniejszemi, do tego nawet stopnia, że stają się poprostu — handlem i kupiecką wartością... Nigdy jeszcze nic podobnego nie widzieliśmy od czasów najgłębszej przeszłości... Kiedy widzimy, wydawcę— ofiarującego za niewidziane rękopismo Stanleya 40.000 funtów sterlingów — to jest milion franków, możemy zmiarkować, jakie to są i być mogą postępy na literackim rynku naszego czasu.

Taki stan rzeczy sprowadza ten nieunikniony skutek, że professya literacka przedstawia się nam jako zawód, któremu warto jest poświęcić się wyłącznie. Ztąd-to ta liczba wzrastająca codzień i co godzina młodych pismaków—to nadzwyczajne mnożenie się—a następnie i konkurencya — gorzka, cierpka, zaciekła, wyuzdana — szkaradna!

Oto, jak jeden z tych braci Arwalów sądzi swoich wspólników, skazanych na ciężkie roboty literackie:

„Niegdyś—powiada—pisarz, autor, był to najczęściej poczciwy człowiek, który pisał książki i który resztę czasu żył jak wszyscy inni ludzie; a to tembardziej, iż miał potrzebę łączyć się z towarzystwem wykształconych ludzi swojego czasu, aby utrzymać swoje powodzenie—i nie różnić się niczem od reszty współczesnych.

„Dzisiaj młodzi literaci stanowią rzeczywiście nowy i dziwny rodzaj ludzkiej rasy. Widzę ich, oznaczonych kresą professyonalną, dobitniejszą, niż owa, którą się odznaczali ongi niewinni chudeusze literaccy—i głębiej zarysowaną, niż owa kresa żołnierzy, jurystów i aktorów; w każdym zaś razie, jest ona groźniejszą a mniej przyjemną“.

Nie mogąc stworzyć nic nowego—a niezdolni nawet iść wytrwale i cierpliwie śladem wielkich ojców, rzucają się oni na najdziwniejsze wymysły formy i języka—kaleczą i ciągną na turtury ten język i przychodzą do tego, że sami siebie zrozumieć nie mogą! Oni-to wynaleźli symbolizm, instrumentyzm, dekadentyzm—i te wszystkie dziwolągi, które im służą do pokrycia wierutnej i ostatecznej nędzoty umysłowej. Najstaranniejsi podnieśli sztandar psychologii i rozprawiają o niej, jak ślepi o kolorach, pod pozorem wyrażenia, odcieni, wzruszeń i uczuć duszy, które, skoro je naciśniesz mocniej, ulatują, jak senne marzenia, albo się redukują do wrażeń prostych i znanych od wieku—słowem: patrzą na świat, jak chorzy, obłąkani—okiem, które świat mąci i wykrzywia.

W takich warunkach muszę się pilnie rozglądać w tym stosie szarych i płowych tomików i trzymać pióro na wodzy. Wybieram tedy co jest najprzystępniejsze dla naszych czytelników, których chronić należy od tej zgubnej zarazy, aby się nie stał uszczerbek językowi naszemu. Oni mogą swawolić, bo swobodni: nam się nie godzi.

Kilka słów najpierw o kobiecie, która w swym czasie postawiona była na takiem miejscu, gdzie zblizka i dobrze mogła się przypatrzyć ważnym i wielkim wypadkom i ludziom. Jestto pani Carette, z domu panna Bouvet — niegdyś lektorka cesarzowej Eugenii. Dziś wyszła na świat druga serya jej poufnych wspomnień o Dworze Tuilleryjskim (*Souvenirs intimes de la Cour des Tuilleries*). Opowiadania tej seryi zatrzymują się na dniu, w którym pani Carette widziała cesarzową Eugenią odjeżdżającą z Paryża po klęsce Sedanu. Opowiadanie o tych dniach bolesnych i ciężkich pisane jest bez pretensyi literackiej, z prostotą, jaką nadaje uczucie prawdy i wrażenie rzeczy przeżytych i widzianych na jawie—cały w tem jest wdzięk tych wspomnień.

Co jest charakterystycznem w tej książce pani Carette—to, że wspomnienia jej, zakończone katastrofą tak tragiczną, pisane były wśród zabaw i balów dworskich niesłychanej świetności i życia. Tam, wśród tej atmosfery blasku i woni— wśród dźwięków zachwycającej muzyki, wśród wiru tańców,—autorka widzi ukazujące się postacie, które następnie odegrały tak ważną rolę w losach jej ojczyzny—osoby panujące i ich otoczenie z wystawy 1867, ks. Bismarck, Moltke— rozmowy z nimi anegdoty, urywki podsłuchanych zwierzeń politycznych—wiadomości z pola bojów: dramat i ostateczne uderzenie piorunu.

Ciekawy jeden szczegół tyczy się ks. Bismarcka. Autorka, prowadząc taniec kotyliona na balu przy dworze, w jednej z figur poszła wybrać na kawalera ks. Bismarcka, siedzącego na stronie, w kąciku. Żelazny Pomorczyk nie odmówił wezwaniu,—gracko odtańczył walca, a odprowadzając swą tanecznicę na jej miejsce, oderwał pączek róży sztucznej z bukietu, który miał w pętlicy fraka i podając go jej powiedział:

— Racz pani zachować ten pączek na pamiątkę ostatniego walca, któregom odtańczył w mem życiu, i którego nie zapomnę.“

Mnóztwo w tej książce podobnych szczegółów. Warto je czytać: wszak to są cząstki naszej współczesnej historyi—a te subtelne okruszyny daje nam pióro kobiety.

A że jesteśmy w tem zaczarowanem kole, które Goethe nazwał „*das ewig Weibliche*“ weźmy do rąk jednę z tych illustracyi, które się tak mile uśmiechają do mnie.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Kommissya, obrabiająca w Petersburgu sprawę technicznego wykształcenia kobiet, podniosła kwestyą normalnej ustawy dla kobiecych szkół zawodowych.

— Petersburskie Towarzystwo rozpowszechnia między kobietami nauki rzemiosł wznowiło działalność swoję przez zamiar utworzenia kursów kształcących nauczycielki rzemiosł kobiecych.

— Na wystawie nasion, produktów spożywczych i gospodarstwa domowego przyznano kobietom nagród 9. W dziale wystawy nasion otrzymała list pochwalny p. Henryka Kożuchowska z Kożuchowa za nasienie buraków cukrowych. W dziale produktów spożywczych i gospodarstwa domowego przyznano medale srebrne: Zofii Plewako z Wisek za sery i mannę, Bercie Brodzkiej z Ekaterynodaru za grzybki kefirowe. Medali bronzowych udzielono dwa także: Helenie Chrzanowskiej z Dziakowa za bulion i włoszczyznę, Zofii Iwanowskiej z Kaczanowczyzny za wędliny. Listy pochwalne otrzymały: Elżbieta Bochwicowa z pow. Wyłkowyskiego za bulion i wędliny, Zofia Dobczyńska z Dublewic za masło, Marya Kowalska z Radzanowa za bryndzę. Między sędziami było pań trzy: Greybnerowa, Alexandra Małkowska, Paulina Szumlańska.

— Sprawozdanie roczne z ruchu szwalni V-ej, przy ulicy Czerniakowskiej, wykazuje, że uczę-

szczało tam dziewcząt 94, które wykonały robót szytych sztuk 936; z tych 311 na zamówienie. Wszystkie uczęszczające tam dziewczęta otrzymywały bezpłatnie podczas zimy kubek herbaty i bułkę, w lecie mleko i bułkę. Biedniejsze dostawały to bezpłatnie, zamożniejsze, płacąc groszy 5, zupę i chleb. Dochód ze składek i ofiar wynosił w ciągu roku 1.079 rs.; wydatek 1.023. Zarząd szwalni zamierza urządzić w roku bieżącym pralnią.

— W „Kuryerze Warszawskim“ z d. 4-go Lutego ozwał się głos, wyrażający życzenie, aby w Szwalniach sposobiono dziewczęta na służące domowe: kucharki, pokojówki, piastunki, bony. Projektodawca *A. I.* pisze, że jest to najpierw sposób najpewniejszy zapewnienia wychowankom w przyszłości pracy, której zaczyna braknąć szwaczkom i innym w tym zakresie robotnicom, gdy naodwrót brakuje sług dobrych: moralnych i odpowiednio uzdolnionych. Byłaby to wielka dla rodzin naszego miasta przysługa; drugostronnie zarząd szwalni pomnożyłby dochody swoje przez opłaty kommissowego, jakie pobierają kantory stręczeń, lub stręczycielki prywatne. Że publiczność garnęłaby się chętnie do kantorów Szwalni — wątpić nie można.

— W dniu 27-go Lutego obchodzono w domu p. Obrębskiej z Michalewiczów uroczystość jubileuszową sześćdziesięcioletniej służby w jednej rodzinie Magdaleny Jaśnikowskiej, która w dniu 27 Lutego 1830 r. weszła jako piastunka w dom p. Leopolda Michalewicza sędziego trybunału, mając rok ośmnasty. Obecnie zarządza ona gospodarstwem domowem u p. Obrąpalskiej na kolonii pod Wolą. Najpierw odprawioną została w kościele Ś-go Karola Boromeusza uroczysta wotywa, następnie zgromadziło się w domu p. Obrąpalskiej kółko osób, składających rodzinę jej i przyjaciół. Przy stole biesiadnym jubilatka, zwana przez całą rodzinę babcią Magdaleną, zajmowała pierwsze miejsce, i tu składano jej życzenia długiego jeszcze życia i zdrowia, wraz z wyrazami uczuć serdecznych i szacunku, na jaki zasłużyła. Niewymownie to piękny, wzruszający obraz, którego wszystkie postacie przedstawiać muszą ludzi dobrych, zacnego serca. Tylko wśród takich — tylko u ognisk rodzinnych, gdzie panuje prawdziwe uczucie ludzkości i pojęcie życia chrześcijańskie, święcić się mogą podobne uroczystości.

— Mieszkanka Warszawy, A. Blumbergowa zamierza otworzyć biuro posłańców kobiet, na wzór istniejących już podobno zakładów takich zagranicą. Praca ta nie przechodzi sił kobiety.

— Dwie Warszawianki, panny z klassy intelligentnej, wyuczone ogrodnictwa, zamierzają zadzierżawić obszerny ogród kwiatowy, owocowy i warzywny. Zajęcie bardzo odpowiednie dla kobiety i mogące się opłacić, zwłaszcza, jeżeli oprócz zbytu produktów surowych dzierżawczynie zajmą się wyrabianiem przetworów owocowych.

— W Nowej Wsi pod Grójcem, znanej czytelnikom naszym z wyborowych okazów kobiecego gospodarstwa, przedstawionych na ostatniej wystawie pracy kobiet przez p. Hubową, uczy się gospodarstwa męzkiego pod okiem właściciela, p. Huby, młoda panna z Podola, zamierzając zużytkować nabyte wiadomości w gospodarstwie własnem. Panna ta ukończyła już szkołę agronomiczną zagranicą i pragnie jeszcze obznajomić się z praktyką gospodarstwa jego i administracyą. Młoda praktykantka znajdzie tu i wyborny wzór gospodarstwa kobiecego.

— Dwa lata temu p. Józefa Chybińska po ukończeniu studyów matematyczno-przyrodniczych w Zurychu otrzymała 5.000 fran. nagrody za monografią o wynalazkach elektro-technicznych na konkursie przyrodników w Sztokholmie. Laureatka była już wtedy wdową; została nią w 20 roku życia, z córeczką jedną, i wtedy to poświęciła się naukom przyrodniczym, studyowała je w Zurychu, oddając temu zajęciu dziesięć lat pilnej pracy, która przecież stargała jej siły. Wtedy wyjechała do brata, p. Teofila Wilmonta, właściciela dóbr Kotulice pod Odessą i tu, po dwóch latach cierpień, umarła, d. 8-go Lutego, zostawiając po sobie sierotkę. Liczyła 33 lata życia.

— W Berlinie urządzono odczyty dla sług, które trwać będą do Wielkiejnocy, po dwa każdej Niedzieli. Miewać je będą kobiety, po cenie bardzo nizkiej, takiej tylko, aby się opłacić mógł koszt najęcia sali. Przedmioty traktowane będą zawsze: między godziną czwartą a piątą z zakresu moralnych poglądów na życie, między piątą a szóstą z dziedziny nauk przyrodniczych, wykładanych najpopularniej i stosowanych do zajęć gospodarstwa domowego.

— Niedzielna szkół sług powstanie wkrótce w Krakowie staraniem „Towarzystwa Oświaty Ludowej“; wykłady odbywać się będą co Niedziela przez dwie godziny po południu.

— Stowarzyszenie Nauczycielek w Krakowie, podając sprawozdanie swoje za rok ubiegły 1899, wykazuje posiadany majątek w gotówce 14.938 zł. reń.; że zaś z końcem r. 1888 przedstawiał on 13.396 złr., zatem powiększył się w ciągu ubiegłego roku o 1.541 złr. Członków zwyczajnych liczy stowarzyszenie 130, członków honorowych 55, członków dobrodziejów 20. Biblioteka stowarzyszenia, mieszcząca się we własnym lokalu przy ulicy Ś. Tomasza, ma członków 168; dochód w ciągu roku był 548 złr., wydano 437 złr., zatem pozostaje w kasie 111 złr. Biblioteka posiada 2.730 dzieł, tworzących 3.641 tomów. Wypożyczalnia książek dla kandydatek do stanu nauczycielskiego została włączoną do Biblioteki. Kommissya biblioteki składa się z przewodniczącej: Teresy Witowskiej, zastępczyni: Mieczysławy Śleczkowskiej, bibliotekarki Danieli Mikiewiczówny. Członkami są panie: Friedberg Ernestyna, Lutostańska Paulina, Oczapowska Eugenia, Pawlikowska Helena, Pogonowska Joanna, Zakrzewska Anna.

Wydział stowarzyszenia Nauczycielek tworzą: Prezesowa, Wanda Żeleńska, wice-prezesowa, Joanna Pogonowska, Daniela Mikiewiczówna sekretarka. Skarbnik: Henryk Mülner. Członkami wydziału są: Seweryna Górska, Julian Maciołkowski, Helena Pawlikowska, Mieczysława Śleczkowska, Paula Spławińska, Piotr Umiński, Ignacy Żółtowski. Wydział odbył posiedzeń dwanaście; biuro umieszczania nauczycielek powierzył p. Anieli Dembowskiej; zawiadywał wypożyczalnią książek kandydatkom do stanu nauczycielskiego; zawiadywał biblioteką; wziął pod uwagę mającą wkrótce nastąpić budowę własnego gmachu dla nauczycielek.

— Szwedka, Ewa Milon, młoda panna, otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie rozpisanym przez D-ra Oatisson, za prawdziwie dobrą, gruntownie, ze względu na interessa kobiety i ludzkości, napisaną, biografią kobiecą. Laureatka wybrała za przedmiot swego utworu Fryderykę Bremer, traktując z danego punktu widzenia jej życie i działalność literacką. Utalentowana, wysoko wykształcona, poświęciła pióro swoje kwestyi wyższego wykształcenia—wyższego rozwoju umysłowości kobiecej w zakresie jej przeznaczeń niewieścich: jej obowiązków w ojczyźnie, w rodzinie, i otrzymała nagrodę: 3.000 koron, co odpowiada mniej więcej trzem tysiącom franków. Dr Oatisson zamieszkuje w Chicago, więc przypuścić trzeba, że pisząca Szwedka posługiwała się językiem angielskim.

— Francuzka nauczycielka i przełożona szkoły ludowej, M-elle Benay, otrzymała krzyż Legii Honorowej za wzorowe prowadzenie szkoły. Udekorowana nim weszła do klassy i, tłómacząc dzieciom, że to jest nagroda, za to, iż okazy ich pracy szkolnej: wypracowania i kaligrafia, które przesłała szkoła na Wystawę, zyskały zadowolenie znawców, wyjaśniła im, że takie są zawsze owoce nauki: nie ograniczają się one do nas samych, ale rozszerzają dobro przynoszące korzyść i innym.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** ogłasza niniejszem dla pp. artystów malarzy *konkurs imienia Wojciecha Gersona* na obraz *historyczny* (religija, historya, allegorya, mitologia), wykonany wciągu trzech lat ostatnich i któryby nie znajdował się czy-to na wystawie Towarzystwa, czy na innej wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie, tudzież kompozycye autorów zmarłych na trzy lata przed 1 Stycznia 1891 roku.

Pragnący stanąć do konkursu winien nadesłać Komitetowi Towarzystwa przed 15 Grudnia r. b. deklaracyą w formie listu z wymienieniem tytułu obrazu, imienia i nazwiska i dokładnego swojego adressu. Obrazy winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniej dnia 30 Grudnia r. b.— Przed rozstrzygnięciem konkursu obrazy podlegają rewizyi cenzury rządowej.

Autor obrazu uznanego przez Komitet Towarzystwa, wespół z professorem Gersonem, za najlepszy otrzyma w nagrodę rubli *sześćset*. Obrazy nadesłane i przyjęte na konkurs pozostawać będą na wystawie Towarzystwa przez tygodni sześć.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanję Wohl.

TREŚĆ: **Pogawędka.** — **Drugie pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — **Kto się lubi, ten się czubi,** przysłowie dramatyczne w 1-ej odsłonie, napisał J. Morosz. — **Ruch muzyczny** przez Juliusza Statlera. — **Nowiny Paryzkie.** — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.**

Дозволено Цензурою. — Варшава, 28 Февраля 1890 года.

Poduszka.

Rycina Nr 13 i 14 w Bl. Nr 10. (Deseń pierw. str tabl. Nr V, fig. 35).

Poduszka 44 cent. szer. a 38 c. wysoka wykonana na cienkiej tkaninie kongres, koloru szarego, brzeg otoczony na 5 cent. szer. pluszem koloru terrakota i pasmanteryą kolorową. Rozetki i kwasty kolorowe po rogach. Spodnia część pod tkaniną z atłasu koloru jasno-terrakota. Haft wykonać podług ryc. Nr 14, ktora przedstawia jedną część wielkości naturalnej. Liście, pączki i gałązki wykonać długim ściegiem cienką karbowaną jedwabną sznelą, kolorami terrakota, piaskowym i oliwkowym w kilku cieniach. Kielichy rozpołowionym jedwabiem tymże sposobem, wąsy i gałązki oliwkowym i bronzowym jedwabiem ściegiem gałązkowym. Rzucik w kierunku ukośnym ciemnym i jasno bronzowym jedwabiem oraz krzyżykami ciemnym i jasno niebieskim. Wązki szlaczek stanowi rząd krzyżyków wykonanych bronzowym jedwabiem otoczonych żołtym jedwabiem.

Serwetka podłużna, wykonana szydełkiem.

Rycina Nr 20, 25 i 26 w Bl. Nr 10.

Serwetka wykonana szydełkiem krętą bawełną koloru crème. Złożona jest ze wstawki i koronki połączonych z sobą $5\frac{1}{2}$ cent. szeroką wstążką koloru ciemno ponsowego. Figury wykonywać należy pojedyńczo a następnie łączyć odpowiednio do deseniu. Wstawka wykonywa się w dwóch połowach (patrz ryc. 26) rozpocząć jak następuje: * na 1 figurę 24 powietrznych oczek, połączonych w kółko 1 ścisłym łańcuszkowym oczkiem, 19 ścis. ocz. w następ. 10 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 5 z rzędu o., 18 ścis. ocz. w wolne jeszcze oczka kółko, 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o., robotę odwrócić i na poprzednich o. powracając, 1 pow. o., 18 ścis. o. w tylne żyłki następ. 18 ści. ocz., 2 o. opuścić, 18 ścis. o. w tylne żyłki następ. 18 śc. o., 1 ścis. łań. o. w 1 z przedostatnich 18 ści. o., robotę odwrócić, 1 pikot czyli 4 pow. o. i 1 ścis. łań. o. w poprzednie ścis. o., 18 ścis. o. w tylne żyłki następ. 18 ścis. o., 1 o. opuścić. 17 ści. o. w tylne żyłki następ. 17 o., 1 ścis. łań. o. w 1 z ostatnich 18 ścis. o. Tak samo wykonać jeszcze 3 figury, przyczem środkowe o. pikotu łączyć z odpowiednim o. 1 figury, dalej 6 ostatnich 18 ścis. o. do 6 ostatnich 17 o. poprzedniej figury, oprócz tego przy wykonaniu ostatniej figury pomiędzy 15 i 16 z ostatnich 18 ści o., oraz pomiędzy 2 i 3 ostatnich 17 ści. o. wykonać pikot i 6 ści. o., przed zakończeniem figury przyczepić do 6 ostatnich 18 ścis. o. figury 1, od * powtórzyć, przy każdem powtórzeniu przyczepiać 2 ostatnio wymienione pik. figury 4, znajdujące się z obydwóch boków 5 ści. o. drugiej figury do poprzedniego deseniu. Drugą połowę wstawki, wykonać tak samo, ale ciągle wykonywać 1 figurę jak 4 pierwszej połowy i 2 pik. tejże przyczepiać do 3 figury odpowiedniego deseniu. Na gwiazdkę wykonać 8 pow. o., złączyć takowe w kółko 1 ści. łań. o., wykonać 16 ści. o. w też samo i 1 ści. łań. o. w 1 ści. o., * na jeden listek 6 pow. o., 3 potrójne słupki, których górne żyłki przerobić razem. w 1 z 6 pow. o. podług ryc. z figurą nasttępną złączyć, 1 pow. o., 1 ści. łań. o. w żyłkę znajdującą się przed o. przyczepionym, 6 pow. o., 1 ści. łań. o. w toż samo o, w którem wykonano 3 potrójne sł., 2 ści. łań. o. w następ. ści. o., od * siedm razy powtórzyć, nitkę umocować i obciąć. Pół gwiazdki wykonywa się tym samym sposobem, ale zamiast 16 ści. o. tylko 10 w kółko wykonać, poczem wykonać pierwsze 4 listki i w wolne jeszcze o., równą liczbę ści. łań. o. wykonać. Po wypełnieniu przedziałów otoczyć robotę z dwóch boków 8 kolejami wykonanemi wzdłuż jak następuje: 1 kolej: * 1 ści. o. w środkowe o. następ. figury, 4 pow. o., 1 sł. w 4 z rzędu o., 9 pow. o., 1 ści. o. w środkowe ści. o. następnej pół gwiazdki, 9 pow. o., 1 sł. w o. następnej fig., do której przyczepiono listek wyżej oznaczonej gwiazdki, 4 pow. o., od * powtórzyć. — 2 kolej ciągle 1 ści. w każde o. poprzedniej kolei.— 3 kolej: powracając na ocz. poprzedniej kolei, ciągle 1 ści. o. w tylną żyłkę każdego o. — 4 kolej: ciągle na przemian: 3 podwójne sł., których górne żyłki przerabiać razem w następ. 3 o., 3 pow. o., 1 o. opuścić.—5 kolej, jak poprzednia, ale zawsze 3 podwój. sł. w 3 pow. o. przerobić.—6 i 7 kolej, jak 2 i 3.—8 kolej: ciągle na przemian: 1 sł. w 2 z rzędu o., 1 pow. o.

Koronkę wykonać również w dwóch połowach odpowiednio do ryciny w sposób wyżej opisany.

Suknia do I-szej komunii.

Rycina Nr 4 (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 58—65.

Spodnica z białej satinki 190 cent. szer., pokryta w przedniej części układanym w fałdy woalem. Część tylna 300 cent. obwodu, zmarszczona w górnym brzegu, w dolnym ozdobiona 5-ma wązkiemi obrąbkami na 12 cent. od dolnego brzegu. Stanik skrajać z woalu podług fig. **59—63** i **65** po dwie części, podług fig. **64** jedną część, złożoną wzdłuż środka, z uwzględnieniem konturów lewej połowy. Zaopatrzyć części podszewką, a w rękawach tylko do konturu. Wykonać w przednich częściach zaszewki. Przednie części podług ryc. pokryć częścią z woalu ułożoną w fałdy i przyszyć do prawej przedniej części, z lewej zapinać na hafteczki. Dolny brzeg przepięty pół paskiem ułożonym w fałdy z woalu, na lewym boku szarfa z kokardą z białej repsowej wstążki. Po wykonaniu przednich części kaftanika, zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, wszyć kołnierzyk od 51 do 55. Przyszyć wyłogi, oraz wielkie pasmanteryjne guziki. Wierzchnią część rękawów zmarszczyć w fałdki od * do *, przyfastrygować do podszewki, zmarszczyć takową od : do · oraz rękawy od 57 do *, zeszyć od 57 do 58 i od 59 do 60 przybrać wązką klapeczką i wszyć w stanik. Woal z mulu uzupełnia całość.

Chusteczki do nosa.

Rycina Nr 5 i 6.

Nr 5 przedstawia chusteczkę z batystu 20 c. w kwadrat, otoczoną wstawką haftowaną $1\frac{1}{2}$ cen. szer. następnie tejże szerokości wstawką koronkową i znów wstawka haftowana w zęby $1\frac{3}{4}$ szer. z pod tejże lekko namarszczona koronka $3\frac{1}{2}$ cent. szer.

Nr 6. Chusteczka batystowa 30 cent. w kwadrat, otoczona koronką.

Chusteczki batystowe.

Rycina Nr 7 i 8.

Nr 7. Chusteczka 25 cen. w kwadrat, otoczona szlaczkiem haftowanym w zęby oraz koronką 4 cent. szer.

Nr 8. Chusteczka 22 cent. w kwadrat wycinana w zęby z koronką wszywaną 7 cent. szer.

Kołnierzyk.

Rycina Nr 9.

Falbanka muślinowa 166 cent. długa a 18 cent. szer. ułożona podług ryciny wstążka czarna aksamitna 3 c. szer., otacza obwód szyi, tworząc z przodu 2 pukle 10 cent. długości.

Kołnierzyk ze wstążki.

Rycina Nr 10.

Część białej morowej wstążki 3 c. szer. a 48 c. długiej. Górna część otoczona paskiem z krepy $1\frac{1}{2}$ cent. szer. układanym w pliski, pukle z wstążki morowej wykończają całość.

Nr 1. Suknia wieczorowa z atłasu i aksamitu. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Suknia z sukna ozdobiona haftem. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 3. Suknia dla panienki do 1-ej komunii. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 43—52).

Suknia dla panienki do I-ej komunii.

Rycina Nr 14.

Na białej satinie wierzchnia spódniczka z tegoż koloru muślinu. Dolny brzeg otoczony szerokim obrębem. Stanik krzyżowany podług ryc., zapinany w tylnej części na hafteczki. Czepeczek i welon z muślinu.

Postumencik na listy bileta i t. p.

Rycina Nr 21.

Postumencik z dwoma przedziałami, wykonany z bronzu i pokryty białym pluszem. Wewnątrz wyklejony atłasem koloru niebieskiego. Część zewnętrzna ozdobiona bukietem z niezapominajek.

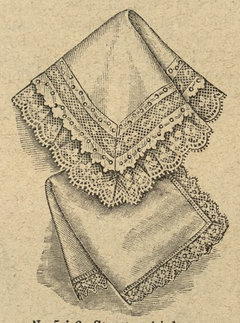

Nr 5 i 6. Chusteczki do nosa.

Nr 4. Suknia dla panienki do 1-ej komunii. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 58—65.

Nr 14. Suknia do 1-ej komunii.

Nr 15. Paltocik dla młodej osoby (do ryc. Nr 15). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—25.

Nr 16. Okrycie (do ryc. Nr 19). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 2, fig. 13 — 15.

Nr 17. Peleryna (opis odwr. str. tabl. 3—68).

Koszyczek na klucze.

Rycina Nr 22.

Koszyczek złocony przybrany podług ryciny pluszem koloru terrakota zdobionym aplikacyą, wykonaną haftem maszynowym jedwabiem bronzowym, oliwkowym i złotą nitką. Kokardy ze wstążki 2½ cent. szer. koloru granatowego i bąbelki pluszowe koloru terrakota zdobią pałączek koszyczka.

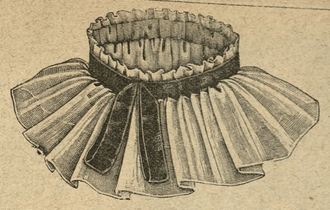

Nr 9. Kołnierzyk z białego indyj. muślinu.

Nr 10. Kołnierzyk z wstążki białej morowej.

Przepisy gospodarskie.

Zrazy z włoszczyzną i kartoflami.

Pokrajać na cienkie plasterki dwa funty pierwszej krzyżowej — zbić mocno, posolić i popieprzyć, poszadkować jak makaron cienko jedną grubą pietruszkę, pół marchwi, kawałek selera i jedną cebulę—sparzyć to gorącą wodą—w rondel włożyć łyżkę masła, zagotować do zrumienienia na bardzo jasno, włożyć mięso przekładając włoszczyzną i na wpół ugotowanemi kartoflami w plasterki krajanemi—wsypać odrobinę chleba tartego na wierzch, włożyć jeszcze kawałek masła, szczelnie przykryć rondel i na silnym ogniu dusić, nie podnosząc pokrywy, tylko rondlem potrząsając przez małe pół godziny, a będą nie rumiane ale bardzo smaczne zrazy.

L. C.

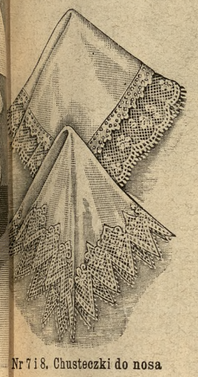

Nr 7 i 8. Chusteczki do nosa

Nr 11. Suknia dla młodej panienki (do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 10). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26—34.

Nr 12. Suknia z materyału wełnianego. (Kr i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

Nr 13. Suknia z atłasu „merveilleux" ozdobiona haftem. (Opis pierw. strona tabl.)

Nr 18. Paltocik dla młodej osoby (do ryc. Nr 15). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—25.

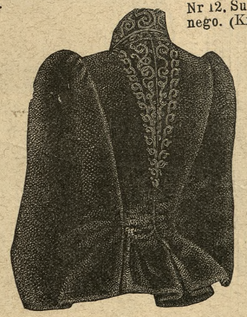

Nr 19. Okrycie (do ryc. Nr 16). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—15.

Doświadczenie praktyczne.

Wanilia moczona w spirytusie lub araku na likier, po zlaniu spirytusu ususzona w lekkiem cieple zachowuje jeszcze nieco zapachu i może być użyta drugi raz do ciasta lub gotowanych kremów naturalnie w większej ilości.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rybna z kluseczkami.
2. Szczupak faszerowany.
3. Polędwica z masłem serdelowem.
4. Groszek z grzankami.
5. Lin smażony z sałatą z czerwonej kapusty.
6. Ciastka z kremem.

OGŁOSZENIA.

DOBRA PRAŻMÓW

Poczta Grójec (Гройцы) Gub. Warsz.

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ

WIELKIEJ BIAŁEJ

i

DROBIU RASSOWEGO

IZABELLA RYX.

Cennik prosiąt.

Za knurka 3 do 4 miesięcznego 20 rs., a za maciorkę w tymże samym wieku 15 rs. W każdym zaś następnym miesiącu cena sztuki prosięcia podwyższa się o 4 rs. Młoda maciorka prośna 50 rs. Dla służby 25 kop. od sztuki. Za klatkę 50 kop.

Cennik młodych kur i kaczek bez różnicy ras.

W m. Czerwcu i Lipcu (kurczęta). Sztuka rs. 2 kop 50.
W m. Sierpniu i Wrześniu. Sztuka rs. 3.
W m. Październiku i Listop. Sztuka rs. 4.
W m Grudniu. Sztuka rs. 5.
Doroszłe sztuki przez cały rok. Sztuka rs. 5.

Cennik gęsi Tuluskich.

W m. Wrześniu. Sztuka rs. 5 kop. —
W m. Październ. Sztuka rs. 7 kop. —
W m. Listopad. Sztuka rs. 10.
W m. Grudniu. Sztuka rs. 12 kop. 50

Odstawa do Warszawy w każdy Czwartek gratis. Dalszą przesyłkę uskutecznia Kantor Przewozowy: A. Wróblewski i S-ka, ul. Trębacka Nr 11 w Warszawie.

Cennik wylęgowych jaj.

1. Kochin białe (srebrne).	Sztuka 25	kop.
2. Langshan.	„ 25	„
3. Brahma ciemne.	„ 20	„
4. Plymouth-Rock.	„ 20	„
5. Houdan.	„ 20	„
6. Wyandotte.	„ 20	„
7. Kaczki Pekińskie, białe.	„ 30	„
8. Gęsi Tuluskie, olbrzymie.	„ 50	„

Opakowanie od każdego tuzina lub mniej jaj 10 kop.

Wysyłka rozpoczyna się dnia 15 Marca i trwa do 1 Czerwca.

Jaj za zaliczeniem poczta nie przyjmuje.

Izabella Ryx.

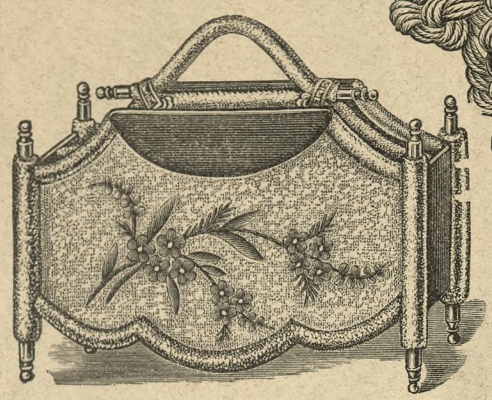

Nr 21. Postumencik na listy, wizytowe karty i t. p.

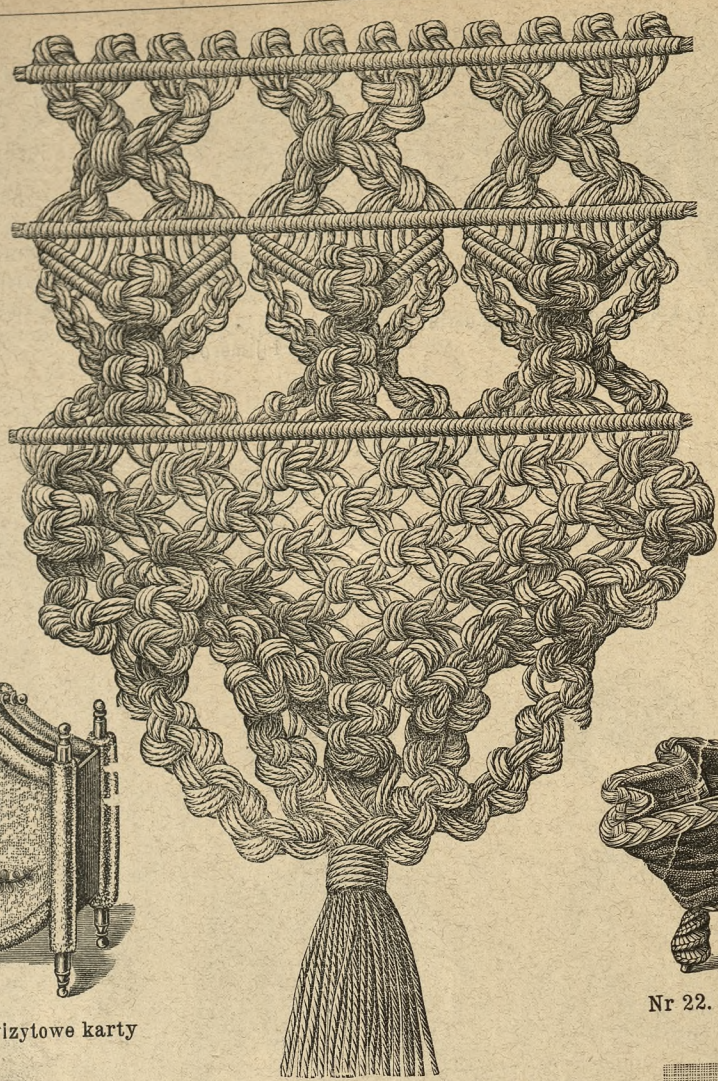

Nr 20. Zab do ozdoby koszyczków i t. p. (Robota wiązana 3/4 naturalnej wielkości).

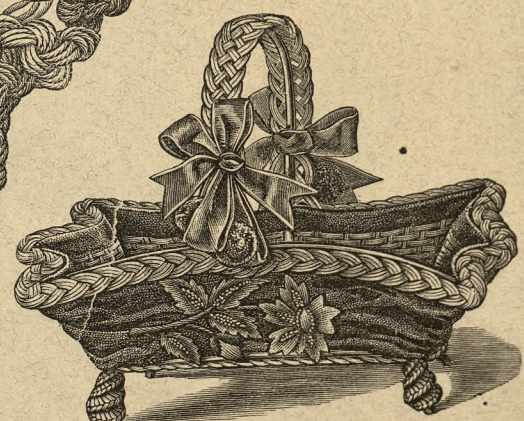

Nr 22. Koszyczek do kluczy ozdobiony aplikacyą.

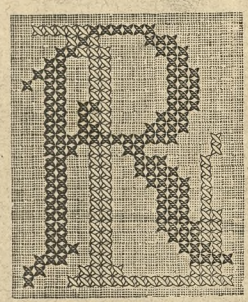

Nr 23. Znak haftowany (robota krzyżowa).

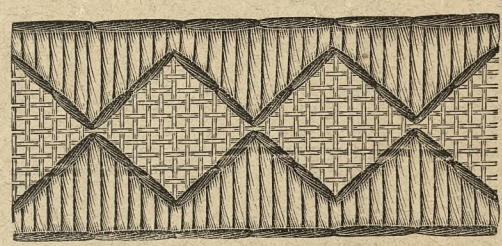

Nr 25. Haft do serwetki Nr 29. (Wielkość naturalna).

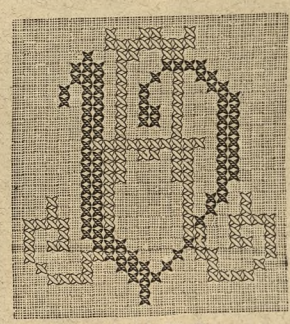

Nr 24. Znak haftowany (robota krzyżowa).

Sprostowanie:

W artykule „Gospodarstwo miejskie“ w Nr 11 Bluszczu na pierwszej szpalcie str. 47 w wierszu 15 od dołu, czytaj wędliny pani Bochwic z gub. Grodzieńskiej zamiast Brocherie.

W ogłoszeniu o wydawnictwach L. Ćwierczakiewicz na str. 48 na trzeciej szpalcie w wierszu 4 od dołu, broszurka „Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“ — cena ma być kop. 40, zamiast rs. 1 kop. 50.

Opisanie rycin: Nr 20, 25, 26 i 29 w przyszłym numerze.

Nr 27. Woreczek „Pompadour“ ozdobiony haftem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 69).

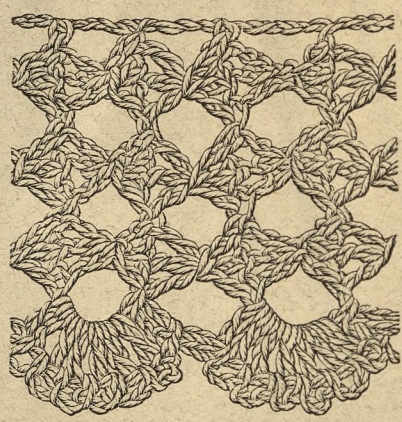

Nr 26. Koronka do serwetki Nr 29. (Robota szydełkowa, wielkość naturalna).

UWAGA.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 10 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.

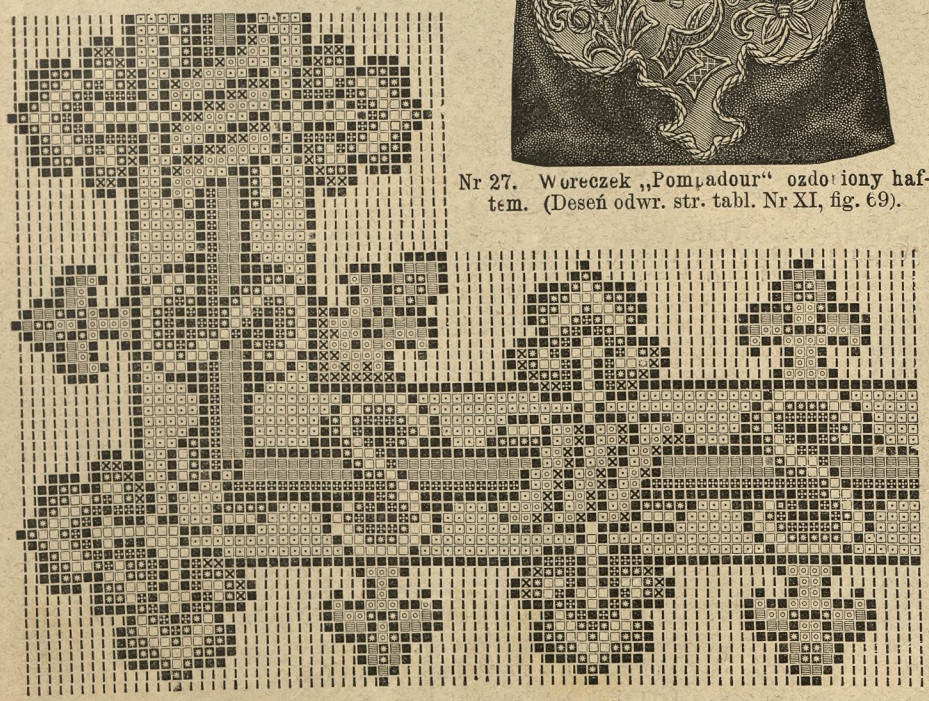

Nr 28. Szlak z narożnikiem do serwet, poduszek itp. (robota krzyżowa). ■ czarny, ⊞ ciemno zielony ⊡ jasno zielony, □ biały, ⊠ ciemno seledynowy, ⊡ jasno seledynowy, ⊡ bronzowy, ⊡ „vieil or,“ tło.

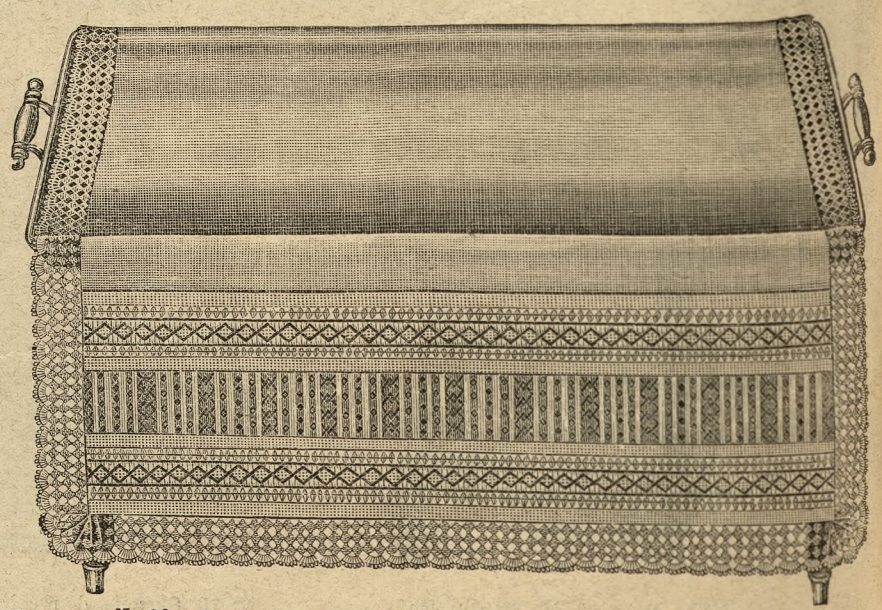

Nr 29. Serweta na stolik z tacą. Ścieg płaski i robota szydełkowa (do ryc. Nr 25 i 26).

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Марта 1890 г.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.